

Przyczynek do historii Oddziału PTTK przy Instytutach Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu

Wrocław 2004/2005

SPIS TREŚCI

<u><i>Moi drodzy.../ Zygmunt Wojciechowski.....</i></u>	<u><i>3</i></u>
<u><i>Przyczynek do historii Oddziału PTTK / Zygmunt Wojciechowski.....</i></u>	<u><i>6</i></u>
<u><i>Pół wieku bez mała [z PTTK] / Zbigniew Domosławski.....</i></u>	<u><i>23</i></u>
<u><i>Moje spotkanie z profesorem Ludwikiem Hirszfeldem / Zbigniew Domosławski.....</i></u>	<u><i>37</i></u>
<u><i>Wybrane i intymne refleksje imigranta.../ Tadeusz Michalski.....</i></u>	<u><i>42</i></u>
<u><i>Moje więzi z Jubilatem / Stefan Rowiński.....</i></u>	<u><i>49</i></u>
<u><i>Belusske Slatiny (wiersz) / Stefan Rowiński</i></u>	<u><i>51</i></u>
<u><i>Migawki wspomnień o PTTK / Aleksander Brudnik.....</i></u>	<u><i>53</i></u>
<u><i>Wspomnienia kajakarza / Włodzimierz Jencylik.....</i></u>	<u><i>56</i></u>
<u><i>Rajd Bieszczady 1955 / Zygmunt Wojciechowski.....</i></u>	<u><i>59</i></u>
<u><i>Zieleniec odkryty przez Klub Kolarski / Zygmunt Wojciechowski.....</i></u>	<u><i>68</i></u>
<u><i>Srebrny Potok / Zygmunt Wojciechowski.....</i></u>	<u><i>75</i></u>
<u><i>Przewodnik czeka.../ Zygmunt Wojciechowski</i></u>	<u><i>79</i></u>
<u><i>Zjazd oddziału PTTK / Zdzisław Tymoczko.....</i></u>	<u><i>82</i></u>
<u><i>Herb miasta Wrocław / Aneta Lotycz.....</i></u>	<u><i>86</i></u>
<u><i>Królowa śląskich rzek i jej służebnice / Aneta Lotycz.....</i></u>	<u><i>88</i></u>
<u><i>Tajemnicze zakątki Nowego Miasta / Aneta Lotycz.....</i></u>	<u><i>90</i></u>

Wrocław, 15 września 2005 r.

Moi Drodzy,

Mija już 50 lat, jak został powołany samodzielny Oddział PTTK przy Instytutach PAN. Był on zorganizowany poprzez integrację, już dużo wcześniej istniejących kilku kół PTTK-owskich Oddziału Miejskiego, działających przede wszystkim w środowiskach akademickich.

Działalność nasza była rozwijana początkowo poprzez organizowanie imprez turystycznych przeznaczonych głównie dla uczestników własnych środowisk, w formie samodzielnych rajdów górskich, czy narciarskich.

Z biegiem czasu nabrały one charakteru otwartych i masowych, corocznych imprez, pilotowanych samodzielnie przez nasz Oddział, takich jak Wiosenne Rajdy Sudeckie, Wysokogórskie Rajdy Tatrzańskie, Złoty Miłośników Historii Kultury Materialnej Dolnego Śląska, Rajdy po Ziemiach Plemion Śląskich, Jesienne Rajdy Ziemniaczane i wiele innych. Obecnie działalność Oddziału w zakresie turystyki kwalifikowanej rozwijana jest przede wszystkim poprzez kluby, skupiające miłośników określonych dyscyplin turystycznych :

- **Klub Wysokogórski „TURNIA”**
- **Klub Żeglarski „ALKA”**
- **Klub Płetwonurków „AMFORA”**
- **Klub Kolarski „PELETON”**
- **Klub Kajakowy „BIELIK”**
- **Klub Narciarski**
- **Klub Turystów Piesznych**

Dalsze formy działalności Oddziału realizowane są poprzez :

- **Koło Przewodników**
- **Komisję Krajoznawczą**
- **Komisję Ochrony Przyrody**
- **Komisję Opieki nad Zabytkami**
- **Komisję Młodzieżową**
- **Komisję Historii i Tradycji**

Wizytówką Oddziału w terenie jest malowniczo położona w Jarkowicach nasza stacja turystyczna - „SREBRNY POTOK”.

W minionym półwieczu, oprócz lat pogodnych, sprzyjających turystyce, zdarzały się również lata trudne, kiedy to zamykano przed nami granice, a nawet dostęp do krajo-
wych gór czy otwartych wód.

To, że często wbrew różnym przeciwnościom, Oddział zawsze działał, w niemałym stopniu zawdzięczamy wytrwałości naszych oddziałowych pasjonatów turystyki, a także niewątpliwie przychylności i życzliwości, dziś już sławnych postaci wrocławskich uczelni, takich jak profesorowie: **Ludwik Hirszfeld, Włodzimierz Trzebiatowski, Stefan Ślopek, Stanisław Tołpa, Jan Klamut, Stanisław Karpiak, czy Adam Cybulski.**

Wielu z nich, będąc wśród nas i uprawiając aktywnie turystykę, chętnie dzieliło się swymi doświadczeniami w tym zakresie.

Warto tu wymienić profesorów: **Eugeniusza Barana, Zbigniewa Domoślawskiego, Danutę Duś, Bogusława Halawę, Wacława Hendricha, Stanisława Jankowskiego, Marię Janusz, Zbigniewa Jarę, Mirosława Kańtocha, Aleksandrę Kubicz, Piotra Kuśnierczyka, Janinę Korczak-Kwiatkowską, Tadeusza Lachowicza, Elwirę i Józefa Lisowskich, Henryka Mateja, Stanisława Miękisz, Andrzeja Morawieckiego, Annę Przondo-Mordarską, Mariana Mordarskiego, Ryszarda Natusiewicza, Zofię Olszewską, Jerzego Orłowskiego, Władysława Pawłaka, Juliana Platta, Franciszka Połomskiego, Czesława Radzikowskiego, Elżbietę Romanowską, Janinę Ruczkowską, Zygmunta Sagana, Alinę Schleicher, Zenona Siemiona, Bolesława Siwonia, Wojciecha Suskiego, Teofila Szulgę, Stanisława Szymańca, Zbigniewa Wieczorka, Marię Witkowską, Mariana Wolnego i innych, których wymienimy w „Przyczynku do historii Oddziału.**

W tym miejscu nie sposób, także nie wspomnieć pełnego serdeczności profesora **Juliana Janczaka**, który poprzez publikacje i bezpośrednie prelekcje niejednokrotnie odślaniał nam i przybliżał dawne dzieje i uroki Dolnego Śląska.

Zawsze kierowała nami ciekawość Polski i Świata, toteż niejednokrotnie mogliśmy je poznawać, podziwiać i pozostawać pod ich urokiem.

Przeminięło już tyle lat, w czasie których przez nasz Oddział przewinęło się wiele, bardzo wiele sympatycznych koleżanek i kolegów. Niejednokrotnie wyrosli na działaczy o wysokich kwalifikacjach turystycznych, krajoznawczych i wychowawczych. Pozostały nam wspomnienia miłych chwil wspólnie spędzonych na wędrowniach, wspólnie ponoszonych trudów podróży i niezapomnianych pobytów na biwakach czy obozowiskach. Równocześnie nasze uczestnictwo turystyczne było wspaniałą szkołą życia i koleżeńskości, niejednokrotnie owocującą trwałymi przyjaźniami.

Mając na uwadze słowa poety, także na następne lata pozostajemy w przekonaniu, że :

*„Jutro popłyniemy daleko, dalej niż te obłoki,
zobaczymy nowe krainy, odkryjemy nowe zatoki,
Starym borom nowe damy imię, nowe ptaki znajdziemy i wody,
i będziemy wsłuchiwać się, jak bije olbrzymie zielone serce przyrody”*

Z życzeniami dalszych turystycznych sukcesów pozostaje

Zygmunt Wojciechowski z Przyjaciółmi

**Przyczynek do historii Oddziału PTTK
przy Instytutach Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu**

na podstawie wspomnień Zygmunta Wojciechowskiego i zachowanych dokumentów

Turystyka i rekreacja w środowisku studenckim i naukowym rozpoczęła się już w 1946 roku. Trzeba zaznaczyć, że jeszcze Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu stanowiły jedną Uczelnię. Wówczas PTTK nie istniało, a organizacjami turystycznymi były PTT - Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i PTK - Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

W tym czasie, poprzez „Bratniaka”, zaczęliśmy organizować różne imprezy integracyjne środowiska akademickiego. Były to wówczas zabawy (zawsze bezalkoholowe) w wielu punktach Wrocławia: w Klubie na Placu Muzealnym (Kino „Śnieżka”), czy to w Katedrze Biologii, gdzie wykładał prof. **Stanisław Tolpa**, w budynku przy ul. Bolesława Prusa i innych. Powstawały nieraz nieformalne grupy turystyczne, czy rekreacyjne, którym przewodzili koledzy studenci, a to: **Zygmunt Sagan** ze **Zbyszkim Domasławskim** – organizowali wycieczki w Sudety, **Tadeusz Michalski** zorganizował grupę „Łaząży” (od łażikowania), jeździli do Kotliny Kłodzkiej (nazywano Go „Włodarzem Ziemi Kłodzkiej”). Kol. **Zygmunt Wojciechowski** z **Tadeuszem Niewiadomskim** organizowali imprezy studenckie po całej Polsce, wraz z innymi ośrodkami akademickimi z Wrocławia, Warszawy, Łodzi, Krakowa i Gdańska. Podróżowano w rejon Beskidów (Czantoria, Równica, Szczyrk, Beskid Sądecki), nad morze do Sopot i tzw. „Żuławy”, gdzie pomagaliśmy podczas wakacji rolnikom – osadnikom (wieś Stare Pole koło Jegłownika nad Nogatem). Wycieczki w Karkonosze odbywały się za zgodą władz na szczeblu wojewódzkim, gdzie przed każdym wyjazdem trzeba było przedkładać listę uczestników i „spowiadać się” w Urzędzie Spraw Wewnętrznych, dla uzyskania przepustki. Na granicy legitymowaliśmy się tymi dokumentami funkcjonariuszom straży granicznej. Zaś na trasie byliśmy pod stałą „czujną opieką” WOP-istów. Być może, że przez te inicjatywy, wielu z nas w roku 1949 dostało się do więzień - w tym przypadku do Elbląga z paragrafu „kto usiłuje obalić ustrój Państwa Polskiego” - lecz z tym nie mieliśmy nic wspólnego.

Po powrocie do Wrocławia z „odizolowania”, a był to rok 1950, przyjęto niektórych z nas do pracy w Zakładzie Mikrobiologii, już w Akademii Medycznej. Za namową profesora **Ludwika Hirszfelda**, który wyraził się „byliście sportowcami, jak wiem i turystami, a ja nie chcę mieć rachitycznych asystentów, zorganizujcie tu życie sportowo – turystyczne”. Nawet wyasygnował fundusze na wybudowanie boiska do siatkówki. Była to wiosna 1952 roku, i tak rozpoczęła się praca organizacyjna. Powstała sekcja siatkówki, później kajakowa, i wiosłarska. Biegaliśmy na bieżniach stadionów zdobywając odznaki SPO (Sprawny do Pracy i Obrony). Organizowaliśmy także wycieczki,

ale jeszcze pod patronatem Klubu Sportowego „Sparta”. W tym też roku dowiedzieliśmy się o integracji PTT i PTK (a mieliśmy kilku członków w PTT, **Benedykta Michalskiego**, ojca **Tadeusza** oraz **Romana Superata**). Zgłosiliśmy się do ówczesnego Zarządu Okręgu PTTK we Wrocławiu, gdzie Kierownikiem Biura, był życzliwy nam kol. **Zbigniew Kukiz**. Ten skierował nas do Zarządu Oddziału Miejskiego, a tam prezesem był kol. **Zygmunt Bukowiński**. Trzeba zaznaczyć, że wcześniej zorganizowanych było we Wrocławiu kilka Oddziałów Akademickich PTTK, jak : Politechnika, Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Rolnicza i Uniwersytet (do roku 1952 ostały się : Oddział Wrocławski – Miejski i Politechnika).

Nas zarejestrowano jako Koło Nr 14 już przy Instytucie Immunologii i Akademii Medycznej. Założycielami Koła było 16 – tu pracowników Instytutu, a to :

Jadwiga Babczyszyn - Maresz,	Czesław Głowaczewski,
Teresa Gus - Horaczuk,	Helena Kielczewska – Rdultowska,
Barbara Klubińska,	Joanna Króliczek - Mądra,
Eugenia Michalska - Łapińska,	Maria Michalska,
Benedykt Michalski,	Tadeusz Michalski,
Bronisława Morawiecka - Goriaczko,	Andrzej Morawiecki,
Zygmunt Sagan,	Alicja Tkacz – Jędrzejewska,
Zygmunt Wojciechowski,	Wanda Zawisza

Powołano Zarząd Koła, który rozpoczął organizowanie życia turystycznego na Akademii Medycznej i w Instytucie Immunologii, współpracując ściśle z już wspomnianym Klubem Sportowym „Sparta”. Koleżanka **Joanna Króliczek - Mądra** redagowała gazetki ścienne ze zdjęciami naszych poczynań. Zorganizowaliśmy Sekcję Narciarską i wyjeżdżaliśmy w każdą sobotę oraz niedzielę na Śnieżnik. Pociągiem dojeżdżaliśmy do Domaszkowa, a dalej pieszo do Międzygórza i następnie do schroniska „Pod Śnieżnikiem”. (trzeba pamiętać, że wówczas na tej trasie nie kursowały autobusy, a PKS uruchomił tę linię dopiero w 1954 roku). Sekcję narciarską w 1953 roku przekształciliśmy w Klub Narciarski, któremu przewodził jako instruktor i Prezes klubu, **Edward Kędzior** – Kierownik Studium Wychowania Fizycznego na Akademii Medycznej. Poszerzało się nasze grono, tak że do końca roku 1954 było nas już ponad 80 osób (lista w załączeniu). Na Zjeździe Oddziału Miejskiego, gdzie występowaliśmy jako Koło, dowie-

dzieliśmy się, że istnieją 3 koła środowiska akademickiego : koło Wydawnictwa Ossolineum, któremu przewodniczył kolega Stanisław Słowik, drugie w Zakładzie Fizjologii Akademii Medycznej z prezesem Stanisławem Karpiakiem, późniejszym profesorem, no i nasze Koło. W tym czasie usilnie dążono do zatwierdzenia Instytutu Immunologii, co nastąpiło na początku 1954 roku, jeszcze przed śmiercią prof. **Ludwika Hirszfelda**. Instytutowi nadano imię tego Wielkiego Uczzonego. Na tym Zjeździe postanowiono zintegrować wyżej wymienione koła, w Koło PTTK pod nazwą „przy Instytucie Immunologii” jako Numer 52. Później do tego koła wstąpiło wielu byłych członków z nieistniejących Oddziałów A M, W S R, U W, oraz grupa lekarzy. Powołano nowy Zarząd Koła, który jeszcze intensywniej organizował życie turystyczno – sportowe na terenie wrocławskich Uczelni. Powstało wiele nowych sekcji i klubów turystycznych, jak również rekreacyjnych, współpracując z nowym klubem sportowym „Ogniwo”. Zmiana klubu nastąpiła po namowie, miejskiego Zarządu „Sparty”, który oczekiwał od nas wyników sportowych, a my zajmowaliśmy się tylko turystyką i rekreacją.

Myśleliśmy o rajdach i zlotach, które już wówczas były organizowane przez inne jednostki PTTK. Braliśmy w nich udział, jako grupy – drużyny, ewentualnie pojedynczo. Na wyjazdy te dostawaliśmy urlopy okolicznościowe. Własne, niżej wymienione imprezy rozpoczęliśmy dopiero od 1955 roku. Były to rajdy górskie i narciarskie organizowane nie tylko dla naszych członków, ale i dla okolicznej społeczności nie zrzeszonej. Między innymi były to : „Wiosenny Rajd Sudecki”, „Wysokogórski Rajd Tatrzański”, „Zlot Miłośników Historii Kultury Materialnej Dolnego Śląska”, „Rajd po Ziemiach Plemion Śląskich”, „Rajd Ziemniaczany” i inne.

Co do rekreacji powołano sekcję wioślarską, której szefem była koleżanka **Wanda Zawisza**, a instruktorem sam mistrz świata **Szwarcer**. Cwiczenia odbywały się na specjalnych basenach AZS na Wyspiańskiego i w szkole na Rosenbergów, dziś Parkowej. Powstał klub wysokogórski (Taternicki), któremu przewodził kol. **Zdzisław Jakubowski**, taternik i późniejszy kierownik Szkoły Taternickiej w Zakopanem na Hali Gąsiennicowej, oraz Prezes Klubu **Zofia Sobolewska**. W klubie narciarskim zaś, szkolili **Aksamit** i wspomniany kol. **Edward Kędzior**.

W tym czasie Instytutowi przewodniczył docent **Feliks Milgrom** p.o. dyrektor, który miał zamiar naszą działalność ukrócić. Zwrócił się do Prezesa Oddziału wypowiadając te słowa : „Panie Zygmuncie, z tą turystyką i sportem trzeba w Instytucie skończyć, ponieważ w tak szacownej instytucji na taką działalność nie ma miejsca”. W odpowiedzi usłyszał, „że Prezes odejdzie, a turystyka zostanie, gdyż nauka z tego

powodu nie cierpi, a wręcz przeciwnie, prac jest coraz więcej i to na poziomie”. I rzeczywiście, pracownicy intensywniej wykonywali swoje obowiązki, będąc każdego tygodnia kilka godzin na świeżym powietrzu. Co do riposty? - tak się stało! Wymieniono część załogi Instytutu, która wyjechała do Akademii Śląskiej, za zgodą VI Wydziału PAN, łącznie z p.o. dyrektorem **Feliksem Milgromem**. Natomiast nowym dyrektorem Instytutu mianowano profesora **Stefana Ślopka**, który przywiózł ze sobą kilkunastu pracowników naukowych, właśnie z Akademii Śląskiej. Profesor **Stefan Ślopek** zaakceptował naszą działalność, potwierdzając to przynależnością do naszego grona. Przybyła grupa, zasilila szeregi PTTK, a prace naukowe były kontynuowane, co spotkało się z aprobatą wyższych władz naukowych, jak i administracyjnych - WKKFiT i Zarządu Okręgu PTTK we Wrocławiu. Patronami tej działalności byli, profesor **Jan Klamut** i profesor **Włodzimierz Trzebiatowski** - Prezes Polskiej Akademii Nauk - oraz dyrektor WKKFiT we Wrocławiu.

Gdy liczba członków przekroczyła 180 osób - potrzebny limit 50 - już w czerwcu 1954 roku zgłosiliśmy chęć powołania Oddziału PTTK. Zgodę na to wyraził Zarząd Oddziału Miejskiego PTTK, a Zarząd Okręgu w grudniu 1954 roku wniosek zatwierdził. Zarząd Główny PTTK zgodę na powstanie Oddziału wydał dopiero 29 maja 1955 roku. Na zasadach Oddziału, pracowaliśmy już od czerwca 1954 r., przygotowując się do załatwienia formalności. Dlatego w roku 2002 obchodziliśmy 50-lecie PTTK przy PAN - (1952 - 2002), natomiast teraz obchodzimy 50-lecie powstania Oddziału PTTK - (1954 - 2004).

Rozpoczęła się współpraca z Oddziałem Miejskim, wspólne szkolenia i imprezy. W Biurze Oddziału Miejskiego, przy ul. Świdnickiej 26 we Wrocławiu, zorganizowaliśmy, za zgodą tamtejszego Zarządu, nasze biuro, którego kierownikiem została koleżanka **Zofia Strożecka - Tichy**, a urzędującym sekretarzem koleżanka **Teresa Brawata - Fischer**.

Na pierwszym Zjeździe naszego Oddziału, który odbył się w Instytucie Immunologii przy ul. Chałubińskiego 4, powołano zarząd liczący 20-tu członków. W ramach współpracy, sekcję kajakową naszego Oddziału przekształcono w Klub Wodniaków, który był reprezentowany przez Przodownika Turystyki Kajakowej, koleżankę **Teresę Cieślę** i kolegę **Tadeusza Pruchniewicza**. Drugim Klubem Wodniaków z Oddziału Miejskiego, był klub „Wiadrus”, któremu prezesowała koleżanka **Tamara Dauerman** i Przodownik Turystyki Kajakowej kolega **Szostakowski**.

Również współpracowaliśmy w zakresie przewodnictwa i narciarstwa z klubem

„Skade”. Na kolejnym kursie przewodnickim przeszkolono kilkoro naszych koleżanek i kolegów. Byli to : **Mieczysław Galyga, Stanisław Gdula, Tadeusz Lachowicz, Tadeusz Michalski, Danuta Szlesinger, Teofil Szulga** i inni, których z przykrością ominałem, ponieważ dokumenty z tego okresu w Oddziale Miejskim nie zachowały się. W tym czasie, a był to rok 1956, stopnie przewodnickie, zatwierdzał WKKFiT na zlecenie Koła Przewodników, jedynego wówczas we Wrocławiu.

W tym też roku, przeszkolono na Pomocnika Instruktora Narciarskiego PZN w Szklarskiej Porębie, kilku naszych członków PTTK PAN. Byli nimi : **Tadeusz Michalski, Mieczysław Rozent, Zygmunt Wojciechowski** i inni. Kurs ten prowadzili Koledzy **Leszek Wondrausch, Bronisław Haczekiewicz** z WSWF, oraz **Zdzisław Jakubowski** - Instruktorzy Wykładowcy PZN.

W międzyczasie Koleżanka **Zofia Strożeczka-Tichy** przeszła do pracy w Bibliotece Akademii Medycznej, a jej miejsce zajęła kol. **Barbara Żero**.

Współpraca, o której była mowa wcześniej, zaczęła się rozluźniać, po zmianie lokalu Oddziału Miejskiego PTTK, na ich siedzibę w Rynku pod Nr 38. Wprawdzie użyczono nam sali klubowej na spotkania naszego Zarządu, ale agendy Biura zmuszeni byliśmy przenieść do Instytutu Immunologii przy ul. Chałubińskiego 4, do czasu otrzymania pomieszczenia przy Placu Solnym 14 / 235.

Pod koniec 1958 roku, współpraca z Oddziałem Miejskim ustała - pracowaliśmy już samodzielnie. Władze tego Oddziału zmieniły się i pogląd na naszą działalność również. Dobrze, że po naszej stronie opowiedział się Zarząd Okręgu PTTK. Natomiast współpraca, która już wcześniej istniała z Oddziałem PTTK przy Politechnice, któremu przewodzili prof. **Adam Cybulski** i koleżanka **Elżbieta Ziolkowska – Nowińska**, układała się bardzo dobrze.

Wracając do wcześniejszego okresu, już w latach 1955 nosiliśmy się z zamiarem organizowania bazy noclegowej w górach. Nasze koleżanki i koledzy, jeżdżąc na wycieczki, penetrowali teren pod względem adaptowania wolnego gospodarstwa na ewentualne schronisko. Gdy nastąpiła „odwilż polityczna”, kolega **Jerzy Stroński** zorganizował wyprawę rowerową w góry Orlickie – trzeba zaznaczyć, że już istniał klub kolarski w naszym Oddziale, dziś ma nazwę „Peleton”. Pojechało z nim kilka osób, między innymi koleżanka **Barbara Klubińska**. Dojechali do Zieleńca i tam nawiązali kontakt z gospodarzem, osadnikiem wojskowym z WOP, panem **Józefem Wroną**, młodszym. Ta znajomość zaowocowała otwarciem schroniska pod nazwą „Wrona”, dziś „Orlica”. Wyjaśnić należy, że budynek ten był kiedyś własnością autochtona **Koszyka**, tak jak domy innych

mieszkańców tego osiedla, mówiących w swoich rodzinach po śląsku – polsku. Z różnych powodów wyemigrowali oni do Niemiec.

Członkowie Oddziału ponosili liczne trudy na rzecz dalszej rozbudowy, skromnej integracyjnej bazy noclegowej. Za namową Zarządu Okręgu i przy jego pomocy, udało nam się uruchomić stacje turystyczne w Górach Bialskich, w Bielicach u leśniczego, oraz stację w Międzylesiu, w zabytkowych drewnianych domkach. Następny obiekt był w Jarkowicach, w rejonie Lasockiego Grzbietu, również w Sudetach. Był to teren w strefie nadgranicznej, przeznaczony dla gospodarki narodowej. W Dolinie Srebrnika pracowali inżynierowie naukowcy z Instytutu Geologicznego z Wrocławia. Byli nimi członkowie PTTK naszego Oddziału, **Maria i January Szalamachowie**. Zauważyli oni dewastowane obiekty po straży granicznej WOP, opuszczone jak się okazało, jeszcze w 1947 roku. Za naszą zgodą, podpisali wstępną umowę z Gromadzką Radą Narodową o przekazanie nam w „wieczyste użytkowanie” tych budynków – NA 10 LAT ? (dziś wydaje się to śmieszne, ale takie były procedury w tym czasie) Budynki były już w 80 % zniszczone, ale po kilku miesiącach mozolnej ciężkiej pracy, mogliśmy otworzyć następne schronisko w 1958 roku.

Dalsze poczynania, to przygotowanie bazy noclegowej we Wrocławiu. Były to budyneczki „Jaś i Małgosia”, oraz lokal na III – cim piętrze, obecnej Biblioteki, Rynek 58. Prezydentem miasta był wówczas profesor **Iwaszkiewicz**. Pomimo, że mieliśmy przygotowane pieniądze oraz dokumentację na ten remont, to otrzymał te lokale ZMS, wówczas ważniejszy.

Nie zrażeni różnymi przeszkodami, brneliśmy dalej w swoich poczynaniach. Na rajdach i wycieczkach, wyszukiwaliśmy już zagospodarowane obiekty, następnie z właścicielami podpisywaliśmy umowy, korzystne dla obu stron. Były to obiekty : w Czarnym Borze, „Bacówka” na Przełęczy Kowarskiej, którą przekazaliśmy Oddziałowi PTTK w Kamiennej Górze, w Rędzinkach przy podejściu na Wołek w Rudawach Janowickich, w Kowarach w leśniczówce przy Starym Trakcie Kamiennogórskim, wejście na Skalnik, w Domnowie na trasie Bolków - Marciszów, w Karpaczu u państwa **Lisowskich** i u Instruktora Narciarskiego **Ardatiewa**. Inne to : w Kudowie Zdroju u Włocha lodziarza, w Ścinawce Średniej, w Gorzanowie, w Zieleńcu „Wierchy” i „Sokolik” i wiele innych. Razem 20 stacji, nie mówiąc o kempingu w Dąbkach nad morzem. Z niektórych obiektów musieliśmy zrezygnować. Mieliśmy obok „mniej zapracowanych” działaczy, pseudoaktywistów turystycznych, czekających na gotowe. Byli tacy w Polanicy Zdroju i innych jednostkach PTTK. Częściowo im to się udało. Pozostał nam „Srebrny Potok”-

nie będę opisywał, za jaką cenę. Każdy obiekt ma swoją historię, który wymaga odrębnego opracowania. Na razie opisaliśmy „Wronę” czyli dzisiejszą „Orlicę” w Zieleńcu, przy okazji rozebrane, „Sokolik” i „Wierchy. Następnie kończymy opisywać (Schronisko – Stację Turystyczną – Dom Wypoczynkowy) „Srebrny Potok” w Jarkowicach.

Kolejny Zjazd Oddziału PTTK PAN odbył się w Domu Toto-lotka przy ulicy Szewskiej dzięki koledze **Zbyszkowi Kukizowi**, który wówczas był tam Dyrektorem. Na Zjeździe uchwalono powołanie Kół, z różnych już zintegrowanych grup, takich jak zakładowe, studenckie, szkolne i terenowe: wodniaków, narciarzy, górali i nie zrzeszonych. Powołano Koło Przewodników Terenowych i Sudeckich, a także Koło Organizatorów Turystyki.

W międzyczasie, a były to lata od 1956 do 1970, postanowiliśmy mimo „żelaznej kurtyny”, spróbować organizowanie dalszych wycieczek zagranicznych. Mieliśmy za sobą wyjazdy do Czech i Słowacji w rejon przygraniczny, do „Strefy Konwencji”. Rozpoczęliśmy przygotowywanie wypraw do Bułgarii, Rumunii i na Węgry, które prowadził kolega **Stanisław Gdula**. Wyprawy te były organizowane w ramach klubu wysokogórskiego, jeszcze bez nazwy. Od roku 1957, wspólnie z Oddziałem Miejskim, pod przewodnictwem prezesa **Zygmunta Bukowińskiego**, zaczęliśmy organizować imprezy do Jugosławii. Ponownie pojechaliśmy tam w 1958 r. Poszerzając nasze zainteresowanie, poznania dalszej części Europy, w roku 1959 przygotowaliśmy wyjazd do Austrii – Włoch – Szwajcarii - stamtąd chcieliśmy przedostać się przez NRF znów do Austrii, lecz Niemcy nie przepuścili nas, twierdząc że jesteśmy „komunistami”. Trzeba było z pod Lofer, objechać pasmo graniczne, poprzez Saalfelden - Zeel a. See-Bruck – do Salzburga, a dalej przez Pragę do domu. Gdy byliśmy w Alpach, dziwiłiśmy się widząc napisy „Sud Tirol ist Deutsch”, okazało się że w Austrii jest, nie „Ostereichische A.V.”, lecz „Deutsche Alpen Verein” - czyli Niemieckie Towarzystwo Alpejskie i tak jest do dziś. Następną tego typu wycieczka była zorganizowana w 1960 r. do Francji przez Włochy, Szwajcarię i znów przez Austrię i Czechy. Po powrocie zaczęto nas sprawdzać, a kierownik tych wypraw **Zygmunt Bukowiński** dostał się niesłusznie do więzienia. Dochodzenie objęło i naszą grupę, łącznie z profesorem **St. Ślopkim**. Okazało się, że winny zarzucanych czynów, był jeden z uczestników wycieczki - „wtyczka” WUSW. Za każdym razem, trzeba było się spowiadać, czy wszyscy wrócili i czy czasem ktoś z uczestników nie podpisał „współpracy za granicą”.

Do roku 1970, z różnych przyczyn politycznych, nastąpiło wstrzymanie orga-

nizowania tego typu imprez. Mogliśmy znów jeździć tylko do Czechosłowacji i NRD. Wykorzystaliśmy ten czas na poznanie Turynii, Szwajcarii Saksońskiej oraz Brandenburgii – dawnych terenów Weletów (Słowian). Gdy nastąpiła „odwilż” pomiędzy niemieckimi krajami i następne wyprawy mogły się odbywać przez NRD i NRF, zaczęliśmy organizować objazdy po całej zachodniej Europie. Byliśmy we Francji ponownie, w Hiszpanii, Belgii, Holandii, Danii, Anglii i wielu innych krajach po kilka razy, nie mówiąc już o Niemczech i Austrii. Ponieważ Jugosławię znaleźliśmy dokładnie, zaczęliśmy organizować wycieczki na południowy wschód europy, to jest do Grecji, Turcji, oraz do Małej Azji - Syrii, Jordanii i Izraela. Ażeby było ciekawiej to w dodatku od 1988 roku, własnym autokarem „Karosą”. To nie był koniec naszych poczynań. Przygotowani i wyszkoleni w Tatrach i innych wysokich górach, rozpoczęliśmy poprzez Klub Wysokogórski, już pod nazwą „Turnia” , organizować wyprawy, do takich krajów jak : Indie, Nepal, Pakistan, Peru i Tanzania. Krajoznawczo zwiedziliśmy centralną Azję - Kazachstan i republiki Kaukazkie, Mongolię, Chiny, Tajlandię, Malezję, Singapur, i Indonezję. W Afryce byliśmy - w Egipcie, Tunisie, Maroku, Kenii. Zwiedzaliśmy też Amerykę Południwą tj Meksyk, Guatemalę i Belize, a w Ameryce Północnej zaliczyliśmy Stany Zjednoczone i Kanadę. Pomagali nam w tym koledzy, **Andrzej Jaworski** z BTZ we Wrocławiu i **Michał Buholz** z Warszawy, także z Biura Turystyki Zagranicznej. Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie wspomniał mojego przyjaciela **Andrzeja Olszewskiego**, który był naszym doradcą, i pomógł nam wyjechać do wielu krajów. Szefami wypraw i kierownikami wymienionych wycieczek byli doświadczeni i sprawdzeni w działaniu turystycznym koleżanki i koledzy : **Tadeusz Dąbrowski, Andrzej Duś, Stanisław Dziuba, Witold Grabowski, Andrzej Kochanowski, Waclaw Koziel, Janusz Misiewicz, Tadeusz Niebudek, „Tunio” Sidorowicz, Roman Sobczak, Anna i Ryszard Szalaty, Waldemar Szumski, Zdzisława Szuwalska – Wojtyto, Mieczysław Wasilewski, Zygmunt Wojciechowski, Jerzy Wojnarowicz oraz Jerzy Wojtowicz**. Pomagającymi w organizacji tych wymienionych przedsięwzięć były koleżanki : **Anna Czarny, Ewa Zaczyńska** i wiele innych **osób**.

Były to wyprawy w wydaniu stricte turystycznym, niejednokrotnie bez zabezpieczenia świadczeń. Ażeby impreza się udała, trzeba było liczyć tylko na własną inicjatywę i organizację przygotowaną w kraju i za niewielkie własne fundusze, zgromadzone tu w Polsce.

Później byliśmy wygodniejsi. Zaczęliśmy niekiedy jeździć na imprezy organizowane

przez inne Biura Turystyczne z zapleczem hotelowym i żywnością o wyższym standardzie. Lecz to zaczyna, jak zauważyliśmy, być dla wielu ludzi kłopotliwe, ponieważ zmniejsza się grono turystów o zasobnych portfelach.

Nie byłoby pełnego obrazu naszej działalności turystycznej w Oddziale PAN, gdybyśmy nie uwzględnili pracy wielu działaczy, w poszczególnych jednostkach organizacyjnych naszej akademickiej i nie tylko Instytucji.

Zacniemy od kolarzy, którzy jeszcze przed zorganizowaniem Klubu, już w 1953 r. rozpoczęli działalność rekreacyjną na sprzęcie jaki był wówczas dostępny - na rowerach ni to turystycznych ni to sportowych, takich jakie udało nam się zdobyć. Kilku z nas było kolarzami, uprawialiśmy kolarstwo profesjonalnie, pomimo dróg szutrowych nie asfaltowych, jak dzisiaj. Koledzy, **Tadeusz Michalski** z **Zygmuntem Wojciechowskim** jeździli w Kotlinę Kłodzką, w rejon Śnieżnika, pokonując trasę Wrocław – Kłodzko, tylko na rowerach. Klub powołano w tym samym roku, którego pierwszym Prezesem został kolega **Jerzy Stroński**. Rozpoczęliśmy przemierzanie tras prawie po całej Polsce. Kupowaliśmy bilety kolejowe dla siebie oraz rowerów, dojeżdżaliśmy do wybranej miejscowości, stamtąd robiliśmy wypady, pokonując trasy od 20 do 80 km dziennie. Zaliczyliśmy w ten sposób między innymi trasy nadmorskie, jak Szczecin - Kołobrzeg - Gdańsk – Fromborg, trasy na Mazurach, w Wielkopolsce i w innych rejonach Polski. Po „odwilży”, kiedy swobodniej można było poruszać się w strefie nadgranicznej, **Barbara Klubińska, Jerzy Stroński i inni**, będąc na wycieczce rowerowej, znaleźli w Górach Orlickich w Zieleńcu obiekt, który do dzisiaj istnieje jako schronisko. Kiedy to Klub Kolarski rozszerzył swą działalność, zgłosił się do nas **Tadeusz Pawlik** z Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej i namówił nas na zorganizowanie w ramach współpracy O. PTTK PAN i Ogniwa TKKF, kursu na sędziego, instruktora i przodownika kolarstwa. Kurs ten ukończyło 7 osób. Obsługiwaliśmy imprezy kolarskie organizowane we Wrocławiu, tzw. „Krossy”, jako sędziowie i instruktorzy kolarstwa. Na rajdach „Po Ziemiach Plemion Śląskich”, którym patronował i był organizatorem kolega **Ryszard Ściążko**, również wprowadzono trasy kolarskie, gdzie trzeba było zabezpieczać teren. A to należało do kadry kolarskiej, w której byli: **Janusz Boratyński, Edward Łukasik, Maciej Malinowski, Janina Nawara, Jerzy Stroński, Wojciech Szeliga, Zygmunt Wojciechowski i Jerzy Wojtowicz**.

Jak to bywa w organizacjach, nastąpiła zmiana w kadrach kolarskich. Kolejnym Prezesem został wybrany kolega **Maciej Malinowski**, wytrwał do „stanu wojennego”. Nastąpiła przerwa w działaniu. Na horyzoncie pojawili się nowi koledzy – działacze.

Zreorganizowano Klub i nadano mu imię „Peleton”, wybrano nowe władze w osobach **Stefana Fischera** – prezesa i **Marka Goździka** wiceprezesa. Organizowano wycieczki w soboty i niedziele, były licznie reprezentowane, ponieważ Klub zrzeszał prawie 50 członków. Rozpoczęto organizację obozów kolarskich, już na rowerach tzw. „górkich” które były prowadzone przez młodą kadrę tj. **Katarzynę Filipek, Grzegorza Kołodzieja, Małgorzatę Gillert, Annę Kondziela** oraz **Adama Smutnickiego**. Patronami i opiekunami, jak również szkoleniowcami młodych adeptów kolarstwa, byli **Aleksander Bogdan, Zygmunt Wojciechowski** i **Jerzy Wojtowicz**, który był równocześnie instruktorem technicznym dla każdego z nas. W międzyczasie powstały podgrupy kolarskie kolegów **Janusza Boratyńskiego, Wjciecha Szeligi, Ludomira Turczyna z Andrzejem Wołoszynem, oraz Zygmunta Wojciechowskiego.**

O wodniakach należy powiedzieć więcej, ponieważ na to składają się cztery jednostki organizacyjne Oddziału, a to : Wrocławska Szkoła Pływacka, Klub Żeglarski „Alka”, Klub Kajakowy „Bielik” i Klub Działalności Podwodnej „Amfora”.

Szkoła pływacka, jako sekcja, istnieje od powołania Klubu Sportowego „Sparta”. Prowadziliśmy naukę pływania najpierw, dla pracowników Instytutu, a później udostępniłmy korzystanie z basenu innym instytucjom, związanym z nami turystycznie. Zajęcia prowadzone były kilka razy w tygodniu, w zakresie początkowym jak i dla zaawansowanych. Uczestnikami zajęć byli kajakarze, następnie w późniejszym terminie, żeglarze i płetwonurkowie. Organizatorami szkolenia pływackiego byli : koleżanka **Barbara Czerwińska - Kossobudzka** i **Mieczysław Gałyga**, a naukę pływania na przestrzeni tak wielu lat, kolega **Adam Kiecka, Zygmunt Wojciechowski** - kierownik sekcji pływackiej AZS, następnie młodsze pokolenie, **Dariusz Nowakowski, Krzysztof Krawczyk** i inni młodszy kandydaci na szkoleniowców. Szkolenie w późniejszym czasie poszerzone zostało na rzecz ratownictwa wodnego jak i podstawowego płetwonurkowania ABC tj. maska, rurka, płetwy.

O żeglarstwie również wiele można powiedzieć, lecz na to trzeba oddzielnego opracowania i pewnie ktoś - mam nadzieję - o tym napisze. Gdy **Andrzej Seweryn** z **Andrzejem Morawieckim** przyszli do Prezesa „Zyzyka” z propozycją, nie do odrzucenia, „będzie sprzęt – czyli żaglówki – to będzie Klub”. A był to rok 1957. Odpowiedź brzmiała „będzie Klub, to będą żaglówki” i tak też stało się – Klub Żeglarski powstał. Rozpoczęliśmy organizowanie rejsów na Mazurach, czarterowano łodzie, zbierano chętnych do szkolenia, czym zajął się nieodżałowany kolega **Roman Superat**. Zorganizowano

kilka obozów szkoleniowych, aż wreszcie doczekaliśmy się pierwszej własnej łodzi słomki, typu „OMEGA”. Zakupiliśmy ją w Ostródzie, za ówczesne 35 tysięcy zł. Przeprowadzono kilka kursów na żeglarza i sternika jachtowego i wtedy rozpoczęła się współpraca z Okręgowym Związkiem Żeglarskim we Wrocławiu, którego Prezesem był kolega profesor **Eugeniusz Kuźmiński**, oraz **Ludwik Tichy**, członkowie naszego Oddziału PTTK PAN. Otrzymaliśmy wówczas nową łódź typu „Omega”, ale już z tworzywa sztucznego. Kolega **Marcin Wenzel**, scenograf Teatru Polskiego i Opery we Wrocławiu, podarował Klubowi łódź - „Punta”, oraz zaprojektował emblemat Klubu „ALKA”. Nasza „flotylla” powiększyła się do 4-ch jednostek pływających, gdyż kolega **Marian Tokarek** z Zakładów Odzieżowych „1 Maja – Kameleon”, afiliował swoją łódź „ELKE”. Trzeba zaznaczyć, że dyrektorzy tego Zakładu zorganizowali Koło PTTK przy naszym Oddziale i w tym czasie pełnili odpowiedzialne funkcje we władzach. Kolega **Stefan Cembrowicz** reprezentował Komisję Rewizyjną jako Przewodniczący, natomiast Kolega **Bernard Bogacki** był skarbnikiem w Zarządzie. Prezes klubu kol. **Roman Superat** opracował model elektroniczny tj. - akwen, rumpel, światła nawigacyjne, i inne urządzenia - do szkolenia teoretycznego jak i praktycznego w miejscu prowadzenia kursu. Przedstawiła to prasa, radio i telewizja, co spowodowało zorganizowanie Ogólnopolskiego Sympozjum Żeglarskiego we Wrocławiu. Przyjechali na to spotkanie przedstawiciele wszystkich ośrodków żeglarskich z całej Polski. Odbyło się to w lokalu Akademii Rolniczej przy Placu Grunwaldzkim. Po wyjeździe kol. **Andrzeja Seweryna** i odejściu Prezesa **Romana Superata**, pałeczkę komandora Klubu przejęła koleżanka **Kosendziak**. Przy różnych perypetiach w działalności nowego Zarządu, kiedy to stracono „Punta” i zniszczono stępkę w „Omedze”, nie do naprawienia, odpowiedzialni zostali zawieszni w czynnościach, a zniszczony sprzęt trzeba było spisać na straty. Powołano nowy Zarząd Komandorem Klubu został kol. **Maciej Kazimierski** natomiast opiekę nad działalnością organizacyjną przejęli członkowie Zarządu Oddziału, wiceprezesa : **Mieczysław Wasilewski**, **Zbigniew Pospolita** z Instytutu Niskich Temperatur, oraz **Jerzy Wojtowicz** z Instytutu Ochrony Środowiska. Łódź plastikowa „Omega”, została odnowiona, i eksploatowana przez ówczesnych członków Klubu „Alka”, w większości pracowników Instytutu Niskich Temperatur. Po przeobrażeniach ustrojowych, praca w klubie ustabilizowała się, wybrano tymczasowy Zarząd Klubu w osobach : komandor - **Ludwik Tichy**, kierownik wyszkolenia żeglarskiego - **Ryszard Jaworski**, organizacja obozów - **Zbigniew Ćwikowski**, wiceprezes do spraw turystyki i rekreacji żeglarskiej - **Maciej Kazimierski**, sekretarz - **Lucyna Macalik**, oraz skarbnik - **Zygmunt Wojciechowski**.

Tak w skrócie wygląda historia żeglarstwa na przestrzeni istnienia Oddziału PTTK PAN.

W działalności wodniackiej Oddziału, nie można pominąć dorobku Klubu Płetwonurków „Amfora”. Mając możliwość, jak wspomniałem, prowadzenia zajęć pływackich przez WSP na basenie Nr 1 przy MZK ul. Teatralna, postanowiliśmy szkolić przyszłych adeptów swobodnego pływania pod wodą. Tego zadania podjął się kolega **Jerzy Kassner**, a w tym pomagała mu koleżanka **Julianna Bąk** - płetwonurek. Poszerzało się grono młodych kandydatów na płetwonurka. Najpierw ćwiczyli z podstawowym sprzętem ABC, a w następnym etapie przy współpracy z TKKF, mogliśmy korzystać ze sprzętu profesjonalnego innych Klubów tej działalności. Szkolenia prowadzili koledzy instruktorzy **Plażyński** oraz **Wacław Koziel**. Zainteresowanie płetwonurkowaniem było ogromne. Koledzy wymienieni w działalności żeglarskiej jak **Mieczysław Wasilewski**, **Zbigniew Pospolita** i **Jerzy Wojtowicz**, zorganizowali sprzęt dla klubu, już na poziomie, nawet do fotografowania i filmowania pod wodą. Na Prezesa Klubu wybrano **Mieczysława Wasilewskiego**, był to wspaniały organizator, „ZŁOTA RĄCZKA” zorganizował wyprawę na Półwysep Arabski nad morze Czerwone. (z tej wycieczki jest film). Po powrocie z udanej eskapady, rozpoczęło się intensywne szkolenie nowych kandydatów, a było ich około 30 osób. Kurs prowadzili : **Leszek Czarnecki** i doktor **Mijał** lekarz klubowy i inni. Po burzliwych zmianach kadrowych w Zarządzie Klubu postanowiono afiliować inne Kluby zajmujące się płetwonurkowaniem, jak „Piranię” i „Akroporę”, które wraz z Klubem „Amfora”, powołały profesjonalny Zakład Usług Podwodnych. Inicjatorami tego przedsięwzięcia byli, koleżanka **Joanna Brzezicka – Zamoyska** i nieodżałowany główny księgowy **Jan Barć**. Kierownikiem Zakładu ZUP został kol. **Wiesław Kacaper**, brygadzystą wspomniany **Leszek Czarnecki**, a lekarzem klubowym **Zbigniew Doręda**. Tak pięknie rozpoczęta działalność, po stanie wojennym została zniweczona, ludzie rozproszyli się, a sprzęt przejął nowo powołany Zakład, prawdopodobnie TAN, już nie nasz. Działalność Klubu „Amfora” nie została przerwana. Powołano nowy Zarząd w skład którego weszli kol. **Tadeusz Niebudek** z AWF jako Prezes, **Tomasz Kobylecki** - wiceprezes i inni. W międzyczasie kolega dr **Dariusz Nowakowski** wiceprezes Oddziału ds. programowych, już jako wyspecjalizowany instruktor płetwonurkowania, rozpoczął szkolenie nowych kandydatów, na basenie, jak też na wyjazdach w rejon akwenów otwartych w Polsce i w Egipcie nad morzem Czerwonym. Rozpoczęło się reanimowanie Klubu, którego dokładne dzieje zostaną opisane w innym opracowaniu.

Po wielu latach organizowania spływów i wycieczek kajakowych, rozpoczęliśmy szkolenie własnej kadry, Przodowników i Instruktorów kajakarstwa. Po pierwszym kursie przodownikami zostali : **Bogdan Gołębiowski, Aleksandra i Krzysztof Janikowie, Józef Lasota, Ewa i Zygmunt Wojciechowscy** oraz **Cesław Workowski**. Następny kurs poszerzył grono aktywu przodownickiego, szkolenie ukończyło kilkoro kajakarzy jak **Janina i Włodzimierz Jencylikowie, Teresa Łączyńska i Kazimierz Piecka**. Ostatni kurs prowadzili: **Włodzimierz Jencylik, Janina Jencylik, Henryk Gubler i Zygmunt Wojciechowski**, Przodownicy i Instruktorzy I – ego stopnia. Uczestników biorących udział w szkoleniu było 15 osób, ostatecznie ten kurs ukończyło 8 osób. Byli nimi **Dariusz Bąkowski, Anna Goździk, Tomasz Kobyłecki, Kazimierz Kościukiewicz, Joanna i Lech Perkwie, Sabina Wyskiel**, oraz **Ewa Zaczyńska**. Pływaliśmy po wszystkich akwenach Polski, na wschodzie, zachodzie, południu i północy, a nawet braliśmy udział w spływach międzynarodowych. Komandorami spływów i obozów kajakowych, a było tych spływów na przestrzeni lat 1952 - 2002 ponad 60, byli : **Krzysztof Janik, Włodzimierz Jencylik, Tomasz Kobyłecki, Kazimierz Kościukiewicz, Andrzej Morawiecki, Waldemar Szumski** oraz **Zygmunt Wojciechowski**. Działalność zaowocowała kroniką, którą opracował **Włodzimierz Jencylik**, od roku 1971, kiedy to nadano Klubowi nazwę „BIELIK”

O narciarstwie już była mowa, lecz dla uzupełnienia informacji , należy uwzględnić strukturę organizacyjną naszego Oddziału, dotyczy to jednostek zajmujących się działalnością związaną z narciarstwem. Jest tych jednostek aż 7 (siedem), tj. :

- Komisja Turystyki Narciarskiej;
- Kolegium Przodowników i Instruktorów Turystyki Narciarskiej;
- Klub Narciarski;
- Wrocławska Szkoła Narciarska;
- Kolegium Instruktorów PZN SITN WSN;
- Grupa zrzeszona w Stowarzyszeniu Instruktorów i Trenerów Narc.;
- Koło Klubu Seniora Instruktorów PZN SITN WSN.

W naszej działalności, od samego początku, dążyliśmy do wypracowania własnego modelu szkolenia kadry, jak również staraliśmy się służyć radą i pomocą ludziom, którzy chcieli uprawiać narciarstwo rekreacyjnie. Było i bieganie na „śladowkach” i były też zjazdy - co wiadomo - jedno to narciarstwo klasyczne, drugie to alpejskie. W latach 1951 do 1965 zajmowaliśmy się narciarstwem amatorsko, lecz już w następnym roku

myśleliśmy o założeniu Szkoły Narciarskiej, która by wykształciła własną kadre instruktorską. Rozpoczęliśmy starania w Komisji Narciarskiej ZG PTTK w Krakowie, lecz bez powodzenia. Komisja nie chciała na siebie przyjąć odpowiedzialności organizacyjnej, więc poszliśmy po linii PZN – Polskiego Związku Narciarskiego. Oddziałowa Komisja Narciarska i Klub Narciarski, zarejestrowany w PZN, powołał Zarząd Wrocławskiej Szkoły Narciarskiej w składzie: **Leszek Wondrausch** – Instruktor Wykładowca PZN, **Zygmunt Wojciechowski** – Prezes Oddziału, **Elżbieta i Krzysztof Nowińscy** z Politechniki, oraz **Bartłomiej Ranowicz** i **Mieczysław Rozent** z Uniwersytetu. Patronował temu przedsięwzięciu doc. **Bronisław Haczekiewicz**. Zgłoszona w PZN Szkoła, została zatwierdzona i teraz już uznawana przez Komisję Narciarską ZG PTTK w Krakowie. Rozpoczęliśmy szkolenie kadry, prowadzone przez Instruktorów: **Bronisława Haczekiewicza**, **Antoniego Szymańskiego**, **Janusza Lesiewskiego** i **Zygmunta Wojciechowskiego** - szefa organizacyjnego WSN. W następnym etapie zaczęto szkolić młodzież ze szkół średnich na tzw. Ekspresach – Narty. Organizowano zawody narciarskie dla instruktorów, dla narciarzy z zakładów pracy, oraz dla młodzieży w trzech kategoriach wiekowych. Obsadę szkoleniową stanowili instruktorzy wymienieni wcześniej i wielu innych jak: **Ryszard Jaworski**, **Jadwiga i Tomasz Świętochowsky**, **Maria i Andrzej Żyłkowie**, **Bogdan Pietrykowski**, **Wiesław Jamont**, **Waldemar Szumski**, **Wiesław Wadowski**, a nieodżałowany **Wiesław Jamont**, urozmaicał działalność narciarską, organizując festyny, czy „Harce Zimowe”. Wyjeżdżało z nami autobusami każdej niedzieli, nieraz do 200 osób, dla których było gotowych, swój czas poświęcić, każdego tygodnia około 25 licencjonowanych instruktorów. Każdego roku obsługiwaliliśmy 10 obozów narciarskich dla młodzieży i rekreacyjnie dla dorosłych, od Świąt Bożego Narodzenia po dzień 3-go Maja, w Zieleńcu, Jarkowicach, w Rzecze, Karpaczu, w Pecu w Czechach, oraz w Tatrach Polskich i Słowackich. Obowiązywał system, jeden instruktor na 9-ciu uczestników szkolenia. Powołano Kolegium Instruktorów, w skład którego wchodziło około 300 członków kadry. Organizowano każdego tygodnia spotkania w Klubie Ekonomisty przy ul. Łaciarskiej, gdzie odbywały się seminaria i teoretyczne szkolenia. Prowadziliśmy także działalność szkoleniową w zakresie zajęć imitacyjnych - nauka jazdy na nartach bez śniegu. Były podręczniki i sprzęt specjalistyczny, szkoliliśmy na salach gimnastycznych, we wszystkich dzielnicach Wrocławia za zgodą dyrektorów, zaprzyjaźnionych szkół. Lecz niestety „słomiany” zapał, doprowadził do zaniku tej działalności, chociaż wszystkie szkoły narciarskie na świecie takie szkolenie prowadzą. Powołano przy PZN stowarzyszenie SITN, które

przejęło szkolenie kadry narciarskiej – do szkolenia tzw. „masowego”, tak że odpowiednik, jako grupa rejonu Dolnego Śląska i u nas powstała. Zorganizowano Koło Klubu Seniora Instruktorów, tak że zaplecze kadrowe do szkolenia jest, lecz niestety warunki z którymi trzeba się dzisiaj zmierzyć po zmianie ustroju, spowodowały osłabienie tej intensywnej działalności. Po pierwsze brak funduszy, po drugie wielu instruktorów pozakładało własne szkoły narciarskie, drenując pieniądze od nie zorientowanych kandydatów do szkolenia, a przecież takie samo szkolenie u nas kosztuje 5,- zł za godzinę, a nie 50,- zł. Trzeba rozpocząć pracę organizacyjną w narciarstwie od nowa, na razie zapal jest, lecz czy starczy cierpliwości i czy nam się to uda ?.

Krajoznawstwo jako nierozzerwalna część turystyki, stanowi podstawę wszystkich naszych poczynań, przy organizacji imprez zaplanowanych każdego roku w pracy Oddziału. Komisja Krajoznawcza, powołana, jako podstawowe ogniwo PTTK, już w samej nazwie akcentowała poznawanie kraju, terenu i historii - Polskie Towarzystwo Turystyczno Krajoznawcze. Pierwszym wybranym przewodniczącym Komisji, został kolega **Mirosław Bielachowicz** – bibliotekarz, przewodnik. Przygotowano plan pracy tej Komisji, w którym uwzględniono zorganizowanie biblioteki. Zebrano wiele woluminów i profesjonalnie opracowano - dokonali tego, bibliotekarz **Anita** i **Tomasz** – przewodnik **Polakowscy**. Planami były i są nadal objęte poczynania, organizacji w celach dydaktycznych „Pracowni Krajoznawczej”, brak funduszy utrudnia to zadanie. Instruktorami Krajoznawstwa zostali : **Mirosław Bielachowicz**, **Stanisław Dziuba** – geograf, przewodnik, prof. **Julian Janczak** z Atlasu Historycznego PAN, **Mieczysław Rozent** – matematyk, przewodnik, **Zygmunt Wojciechowski** – z Instytutu Immunologii PAN oraz **Zygmunt Marek Źdźarski** - chemik z Dolamu. Przygotowano materiały do przyszłego archiwum, a także powołano grupę wydawniczą, którą przekształcono w Komisję Historii i Tradycji. Przewodniczącym tej Komisji został prof. **Zbigniew Domoślowski**.

Ochrona przyrody wiąże się z całą działalnością turystyczną Oddziału. W czasie trwania imprez, koledzy ze Straży Ochrony Przyrody, zabezpieczali środowisko przed ewentualną dewastacją, co często zdarzało się nie odpowiedzialnym ludziom, którzy przypadkowo dostawali się na nasze zloty, czy rajdy. Na innych imprezach nie było takich incydentów, ponieważ uczestnicy byli dobierani. Organizowano wykłady i

prelekcje związane z ochroną środowiska, również na kursach różnych jednostek, omawiano ten temat, tak że każdy członek PTTK naszego Oddziału, miał świadomość przestrzegania ustalonych przepisów. Działaliśmy w VII-mej grupie wojewódzkiej SOP, której przewodniczył najpierw **Zygmunt Wojciechowski**, a następnie kol. **Zygmunt Marek Źdźarski**. Grupa została rozwiązana wraz ze zmianą struktury organizacyjnej w Resortach Wydziałów Wojewódzkich. Obecnie w miejsce S O P powstała funkcja Instruktora Ochrony Przyrody. Zorganizowano kurs kadrowy, który ukończyły, z naszego Oddziału, cztery osoby.

Oddziałowa Komisja Opieki nad zabytkami, działała od momentu, kiedy to na Przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji, wybrano nieodżałowanego kolegę i przyjaciela **Włodzimierza Strasburgera**, Honorowego Członka PTTK. Razem z nim braliśmy czynny udział w wielu imprezach - spotkaniach i akcjach ochrony zabytków. Grupa opiekunów naszej Komisji liczyła 19 osób. Każdy z nas otrzymał legitymację i przydział opiekowania się, wyznaczonym zabytkiem we Wrocławiu. Niektórzy, jak profesor architekt **Ryszard Natusiewicz** – przyjaciel naszego Oddziału również **Zygmunt Wojciechowski**, zostali odznaczeni złotą odznaką Ministerstwa Kultury. Po stanie wojennym i zmianach ustrojowych, trzeba wszystko organizować od podstaw.

Komisja Młodzieżowa, działała we wszystkich jednostkach organizacyjnych naszego Oddziału. Powołano Szkoły Turystyki Kwalifikowanej – narciarzy, wodniaków i górali. Organizowano obozy młodzieżowe we wszystkich dyscyplinach turystycznych, doprowadzono do powstania szkoły pływackiej dla młodzieży. W Komisji tej działali studenci z różnych Uczelni : Akademii Medycznej z Koła „Medyków”- jak **Jerzy Woldan**, **Czesław Nowicki**, czy Uniwersytetu, „Geografowie”, **Leszek Zub i inni**, „Prawnicy”, „Filologowie. Również licealiści z Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych przy ul. Kołłątaja, jak **Jerzy Waygard** brali czynny udział w pracach tej Komisji, a niektórzy z nich byli członkami Zarządu Oddziału - sekretarz **Jadwiga Jucha**. Trzeba zaznaczyć, że wykonywali piękne projekty znaczków na nasze imprezy. Obecnie podejmujemy próby rekonstruowania tej Komisji, co na razie jest na etapie porozumiewania się z następną grupą studentów Kol. Kol. **Katarzyną Filipek** z Politechniki, **Piotrem Golonką** z Uniwersytetu, **Małgorzatą**

Gillert, Adamem Smutnickim, Jarosławem Chomiczem, Grzegorzem Moskałą i Wojciechem Woźnicą z Akademii Wychowania Fizycznego.

O przewodnikach była już mowa na początku tego opracowania, lecz trzeba uzupełnić informacje. Po burzliwych perypetiach przewodnickich, w jedynym istniejącym wówczas Kole we Wrocławiu tj. w 1958 r., kiedy przewodnicy miejscy, chcieli stanować o sobie, powołując odrębne Koło Przewodników Miejskich i przy przeprowadzce Biura Oddziału Miejskiego z ul. Świdnickiej 26, do Rynku pod Nr 38, zapomniano o przewodnikach z Oddziału PTTK PAN. Zaginęły legitymacje naszych przewodników, poza jedną prezesa Oddziału PTTK PAN, którą znalazł nasz przyjaciel, Przewodniczący Komisji Rewizyjnej Zarządu Okręgu PTTK kolega **Jan Źarkowski**. Postanowiliśmy powołać własne Koło Przewodników Terenowych i Sudeckich. Zgłosiliśmy się do WKKFiT we Wrocławiu składając wniosek o zatwierdzenie, uzasadniając naszą prośbę brakiem współpracy z Zarządem Koła Oddziału Miejskiego. Uzyskaliśmy zgodę i rozpoczęliśmy pracę werbując kandydatów na Kursy, których zorganizowaliśmy pięć. Były to kursy na wysokim poziomie, stwierdzały to Komisje Egzaminacyjne, powoływane przez władze wojewódzkie. Szkolono kadrę przewodnicką, nie tylko, dla własnych potrzeb, ale i dla innych Kół przewodnickich, w Oddziałach Fabryczna, Śródmieście i innych. Obecnie, nasze Koło Przewodników liczy 21 osób, reszta rozjechała się po świecie. Spotykamy się w każdy drugi wtorek miesiąca, omawiając bieżące problemy przewodnictwa. Prezesem Koła jest kol. **Marek Źdzarski**, sekretarzem kol. **Stefan Rowiński** z Instytutu Immunologii oraz skarbnikiem **Sylwester Koziół**. Prowadzimy szkolenia różnego typu, seminaria, prelekcje z przezróżkami, wyjazdowe własne i organizowane przez inne jednostki przewodnickie w ramach Komisji Przewodnickiej ZG PTTK. Są także organizowane wycieczki, dla zwyczajnych członków PTTK, prowadzone przez kolegów: **Marka Źdzarskiego** i **Stanisława Dziubę**, pod tytułem „Przewodnik czeka”. W tym jubileuszowym Roku Kolega **Stanisław Dziuba** zorganizował dwie szkoleniowe Imprezy dla wszystkich przewodników Wrocławia, w Zakładzie im. Ossolińskich na temat „Bernardyni” i 16 czerwca 2005 r. z okazji jubileuszu 20-lecia Panoramy Raclawickiej. Aktywnymi przewodnikami obecnie są: **Stanisław Dziuba, Lech Laskowski, Aneta Lotycz, Stefan Rowiński, Marek Źdzarski**. Orowadzają wycieczki w językach polskim, francuskim, angielskim, niemieckim i rosyjskim.

Do rozbudowy struktury organizacyjnej Oddziału PTTK PAN w latach 1952 – 1958, walczyli nie tylko członkowie z Zakładów PAN-owskich i Uczelni Wrocławskich, lecz także z innych Zakładów Resortowych. Byli nimi koleżanka **Janina Nawara** z Wrocławskich Zakładów Włókien Sztucznych, pełniła różne funkcje w Zarządzie Oddziału, począwszy od sekretarza, skarbnika, wiceprezesa, przewodniczącego Komisji Rewizyjnej, obdarowana pełnym zaufaniem naszego turystycznego społeczeństwa. Założyła Koło Nr 28, pomagał jej w tym również uczynny, nieodżałowany inż. **Ryszard Mażul**. Kolega **Wacław Brzozowski** ekonomista z bankowości, w pierwszej fazie naszej działalności pełnił funkcję Głównego Księgowego społecznie oraz w różnych kadencjach działalności, różne zajmował stanowiska. Był z Koła Nr 13 „Bankowców”, a następnie w Kole Nr 1 przy Zakładzie im. Ossolińskich Bibliotece. **Zenon Gołębiowski** z Zakładów Lotniczych na Psim Polu, był jednym z pierwszych członków Zarządu nowo powołanego Oddziału PTTK PAN. **Henryk Żurawski**, późniejszy profesor z Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa „IUNG”, wiele lat pełnił funkcję Wiceprezesa Oddziału. Powołał Koło Nr 2 przy IUNG. Koledzy **Jan Szewczyk** i **Romuald Dunicz**, przewodnicy ze środowiska kolejarzy, uczestniczyli w zarządzaniu, powołaną przez nas organizacją. Wielu innych, o których była już mowa i tych, których należało by wymienić, dla ich wielkiego zaangażowania w pracy przy poszerzaniu turystycznej działalności, rozproszyli się dosłownie po świecie. Tym poświęcę odrębne wspomnienia, już w pełnym wydaniu Historii Oddziału. Nie mogę też pominąć : kolegów, którzy bezinteresownie pomagali w organizowaniu, omawianej wcześniej bazy noclegowej. I tak, opracowanie dokumentacji oraz plany zagospodarowania przestrzennego przy schronisku „Srebrny Potok” w Jarkowicach, wykonał inżynier **Jan Korzeniowski**, a projekt rozbudowy tych obiektów, profesor **Ryszard Natusiewicz** - architekt i inżynierowie : **Waldemar Szumski**, konstruktor oraz **Krzysztof Ogórek**, na ten czas prezes Klubu „Amfora”. Inwentaryzację techniczną tych budynków wykonali koledzy : **Stanisław Gdula** i **Ludwik Tichy** z Biura Projektów Budownictwa Komunalnego, dwie ostatnie przed remontem, jak i po, kolega **Jerzy Wojtowicz** z Instytutu Ochrony Środowiska. Instalacją elektryczną zajmowali się koledzy inżynierowie **Zbigniew Krukowski** i **Janusz Pilat** z Instytutu IiTD PAN, oraz **Franciszek Pomahaczi** z JASE. Projekty instalacji elektrycznej dla Jarkowic i Biura Oddziału, wykonał nasz przyjaciel **Leon Szkudlarek** z BPBK. Prace te,

były wykonywane absolutnie społecznie, nie tylko dla Jarkowic, Biura, czy Zieleńca. Mieliśmy przecież wiele innych obiektów, wymagających dużego zaangażowania i poświęcenia, na dokonanie tych gigantycznych zadań. Za to należy się ogromne podziękowanie wszystkim, którzy bezinteresownie brali w tym udział. Szkoda, że większa część planów, nie została zrealizowana, a wiele zrealizowanych przez społeczników i pracowników Biura, zaprzepaszczone. W ferworze zmian ustrojowych, trzeba było zniszczyć wiele dokonań organizacyjnych Oddziału. Nie sposób pominąć, wiele inicjatyw i dobrych pomysłów, a niekiedy dużej, ciężkiej i ofiarnej pracy społeczników PTTK-owskich.

W działalności organizacyjnej Oddziału, nie można zapomnieć o pracownikach środowiska akademickiego, różnych szczebli i profesji. Nikt się nie ekspozował, ani się wywyższał, wszyscy turystycznie byli równi. Po powołaniu Kół, przedstawiciele tych jednostek, pomimo własnej działalności, w dalszym ciągu brali czynny udział w pracach Zarządów, Oddziału, Klubów i Komisji. Zaczniemy wstępnie od tych, którzy przyczynili się do powołania takiej organizacji, która pozwoliła nam na utrzymanie kondycji przy pracy zawodowej w naszych instytucjach.

Inicjatorem, był psycholog, pedagog, wychowawca i nauczyciel akademicki nieodżałowany profesor LUDWIK HIRSZ FELD, założyciel Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej przy Polskiej Akademii Nauk.

Do integracji w środowisku akademickim, przyczyniło się wielu pracowników z licznych Instytutów i Zakładów PAN oraz Uczelni lat 50 – siątych.

W Zakładzie im. Ossolińskich Biblioteka grupę założycielską Koła Nr 1. Stanowili kol **Mieczysław Galyga**, pracownik starodruków. Pełnił w Zarządzie Oddziału PTTK różne funkcje, jak Wiceprezesa i sekretarza wiele lat, posiada uprawnienia Przewodnika i Przewodnika Turystyki Górskiej, był współorganizatorem wielu pionierskich poczynań w Zieleńcu i w Jarkowicach, organizował wysokogórskie rajdy w Tatrach Polskich i Słowackich, nie mówiąc o innych imprezach, we Wrocławiu, jak spływy kajakowe, czy prowadzenie nauki pływania dla pracowników naszego środowiska. Do wybitnych działaczy tego Zakładu należeli Kol.

Kol. : profesor **Janina Kokoszyńska Lutmanowa** – Przodownik GOT, **Władysław Igielski** – Przodownik GOT, **Czesław Cetwiński** – Przewodnik i Przodownik GOT, oraz szkoleniowiec Instruktor w środowisku przewodnickim. **Wanda Tomaszewska** - Przewodnik Miejski od 1948 r., brała udział w oprowadzaniu turystów po „Wystawie Ziemi Odzyskanych”. **Zbigniew Rzepa** – Przodownik GOT, Przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej Przodowników. **Wiesław Tyszkowski** – pełnił funkcje : członka Zarządu Oddziału i przewodniczącego Oddziałowej Komisji Rewizyjnej. Do tego Koła, należeli pracownicy z Instytutu Badań Literackich i profesor **Julian Platt** z tej Instytucji, prowadził specjalne wykłady z języka polskiego dla przewodników.

W drugim Zakładzie im. Ossolińskich Wydawnictwo, gdzie istniało Koło Nr 3 było wielu pracowników, zaangażowanych w pracy na rzecz Oddziału PTTK PAN. Kol. **Stanisław Słowik** - Prezes Koła i członek Zarządu Oddziału, późniejszy dyrektor Zakładu. **Stanisław Drewniak** - wieloletni członek Zarządu Koła. **Krzysztof Plater** - członek Zarządu Koła, członek Zarządu Oddziału i przewodniczący Oddziałowej Komisji Rewizyjnej. **Józef Wojtal** - członek Zarządu Koła. **Ryszard Szlagor**, członek Zarządu, wieloletni sekretarz Oddziału, redaktor Zakładu. **Aurelia Podgórska** - wieloletni sekretarz i skarbnik Oddziału, jak również sekretarz Oddziałowej Komisji Rewizyjnej. **Eulalia Chłędowska** – członek zarządu Koła i Oddziału. **Julian Swółkiewicz** – członek zarządu Koła.

W Kole Nr 4 przy Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN zaangażowani w działalności społecznej byli : Kol. profesor **Marian Wolny**, z Akademii Medycznej, wiceprezes Oddziału. Kol. profesor **Janina Korczak Kwiatkowska**, z Akademii Medycznej - Przodownik GOT, przewodnicząca Oddziałowej Komisji Turystyki Górskiej. Kol. profesor **Marian Mordarski**, z IiTD, wiceprezes Oddziału, taternik. Kol. profesor **Eugeniusz Baran**, Akademia Medyczna, uczestnik wypraw w Tatrach, konsultant medyczny. Kol. profesor **Stanisław Jankowski**, wiceprezes Oddziału, obecnie prezes Koła Nr 24 przy Akademii Medycznej. Kol. profesor **Teofil Szulga** – z IiTD - przewodnik, członek zarządu Koła i zarządu Oddziału. Profesor **Czesław Radzikowski** - konsultant medyczny na wielu imprezach górskich, czy narciarskich. Profesor **Piotr Kuśnierczyk**, uczestnik wysokogórskich rajdów w Tatrach, członek zarządu Oddziału. Koleżanki : **Anna Czarny** – współorganizator wielu wypraw w Polsce i za granicą, **Ewa Zaczyńska** – Przodownik Turystyki Kajakowej, profesor

Zofia Olszewska – prezes Koła Nr 57, **Elżbieta Pajtasz** – sekretarz Koła, **Danuta Schlesinger** – przewodnik Sudecki, **Jolanta Halasa** – Organizator Turystyki i sekretarz Oddziału, **Maria Paprocka** – wychowawca, opiekun na obozach młodzieżowych, członek zarządu Koła. Kolega **Wojciech Steuden** – opiekun i wieloletni organizator turystyki i rekreacji w II i TD, Kolega **Stanisław Szymaniec** - konsultant medyczny na imprezach, oraz wykładowca na kursach przewodnickich z przedmiotów dotyczących medycyny. Kolega **Andrzej Kochanowski** – wieloletni organizator imprez turystycznych i prezes Koła przy Instytucie.

Z Koła Nr 5 pracowali społecznie: profesor **Julian Janczak**, z Atlasu Historycznego PAN, członek zarządu Oddziału, Przewodnik T. P. , Instruktor Krajoznawstwa, **Janusz Halicki** z Instytutu Archeologii, **Barbara Zenkteler** z Instytutu Antropologii prezes Koła, **Jerzy Pabisz**, z Instytutu Historii Śląska, wiceprezes Oddziału i Dyrektor Wojewódzkiego Archiwum we Wrocławiu

Przy Akademii Ekonomicznej, postanowiono powołać Koło PTTK Nr 7. Tego zadania podjął się profesor **Bolesław Siwoń** i został wybrany pierwszym Prezesem. Inną znamienitą postacią był kol. profesor **Józef Popkiewicz**, Rektor Uczelni, Przewodnik Turystyki Górskiej, o którym napisałem we wspomnieniach o Rajdzie po Bieszczadach w 1955 r. Współpracowali z nami, także z tej Uczelni, kolega **Tadeusz Gospodarek**, Instruktor Wykładowca PZN w narciarstwie i kolega **Ryszard Jaworski** również Instruktor Wykładowca PZN i Instruktor Żeglarstwa w Klubie Żeglarskim „ALKA”.

Drukarnia Naukowa przy Polskiej Akademii Nauk, w której powołano Koło PTTK i nadano mu Nr 11, była jednostką w której działali pracownicy, na rzecz załogi, organizując turystyczny wypoczynek po ciężkiej pracy, ale także włączyli się do działalności na rzecz innych jednostek w PTTK PAN. I tak kolega i przyjaciel ekonomista, **Jan Maciejowski**, przygotował podwaliny organizacyjne dla działania turystycznego na terenie Zakładu. Powołano Zarząd, którego prezesem w pierwszych dniach działalności został on sam. W drugim etapie, pałeczkę organizacyjną przejął Kol. **Wiktor Płocki**. Gdy do pracy w PTTK, przystąpił kolega **Zdzisław Szabla**, działalność turystyczna rozszerzyła się, rozpoczęto organizować spotkania integracyjne z prelekcjami o tematyce turystycznej, zaczęły się wyjazdy na wycieczki zaplanowane przez Koło i z kalendarza imprez Oddziału. Niektórzy członkowie PTTK

z tego Zakładu weszli w skład Zarządu Oddziału, jak koleżanka **Iwona Sinicka** prezes Koła i wspomniany kolega **Zdzisław Szabla**, który rozpoczął działalność, najpierw na szczeblu Zarządu Oddziału, a następnie pełnił funkcję przewodniczącego Oddziałowej Komisji Rewizyjnej przez kilka kadencji. Koleżanka **Maria Jaskólska**, będąc księgową Zakładu, przyjęła rolę skarbnika Oddziału, a **Jadwiga Zwierz** wybrana została na skarbnika Oddziału, a następnie na członka Oddziałowej Komisji Rewizyjnej.

W Kole Nr 33 przy Instytucie Niskich Temperatur, było 201 członków PTTK, natomiast zaangażowanych społecznie w działalności, czy to w Zarządzie Koła, czy w jednostkach organizacyjnych Oddziału, udzielało się bardzo wielu pracowników. Pierwszym prezesem był kolega **Zbigniew Brynikowski**, po nim pałeczkę przejęła koleżanka **Wanda Mleczko**, później do pracy społecznej na szczeblu Oddziału przeszła koleżanka **Barbara Cendlewska** – skarbnik Oddziału, **Andrzej Jasiński** – wiceprezes Oddziału., **Tadeusz Dąbrowski** – członek zarządu Klubu „Turnia”, **Julian Rudny** – wiceprezes Klubu, **Jerzy Misiukiewicz** – prezes Koła, czł. zarządu Oddziału, **Stanisław Gołąb** i **Adam Wyrzykowski** – przejściowo pracowali w Biurze Oddziału, **Kol. Kol. Lucyna Macalik**, **Piotr Wróbel**, **Maciej Kazimierski** pracowali społecznie w Klubie Żeglarskim „Alka” jako członkowie Zarządu. Inni jak : **Irena Jeneral**, **Irena Perek**, **Antoni Dzik**, byli współorganizatorami wielu imprez z kalendarza opracowywanego przez Oddział, w czym pomagała koleżanka z Działu Socjalnego **Anna Dzikowska Gołąb**. Tym wszystkim poczynaniom patronowali profesorowie : **Bogdan Staliński**, **Wojciech Suski** - wieloletni działacz PTTK, na czele z Dyrektorem Instytutu **Janem Klamutem - Przewodnikiem i Przewodnikiem GOT**.

Tak wygląda przekrój społecznych pracowników Oddziału ze środowiska akademickiego, jak również i z innych Zakładów nie naukowych, o których była mowa w niniejszym wydaniu „przyczynku do historii Oddziału”.

Na zakończenie tej krótkiej epopei o naszych dokonaniach na przestrzeni 50-ciu lat, trzeba odnieść się z szacunkiem do niektórych członków naszego Oddziału PTTK PAN, którzy pomagali w organizowaniu tej instytucji, społecznie oraz etatowo. Były to działania administracyjne, oprócz społecznych na polu turystyki i rekreacji. Od

samego początku rozumieliśmy, że bez Biura Oddział nie mógłby istnieć. I tak, jak już wspomnieliśmy w 1954 roku, powołano administrację w ramach 20-to osobowego Zarządu, tzw. „urzędujących członków Zarządu”. Dla przypomnienia były to : **Zofia Tichy Strożecka**, **Tersa Fischer Brawata**, oraz od 1956 do 1957 koleżanka **Barbara Żero**. Po otrzymaniu lokalu przy Pl. Solnym 14 / 235, pracownikami Biura byli studenci **Mieczysław Rozent**, **Zbyszek Czarnecki**, **Barbara Kochanowska** oraz wielu innych, o których napiszemy w oddzielnym opracowaniu. Ważnymi dla działalności takiej organizacji, byli księgowi, których wymienimy najpierw, ponieważ pracowali absolutnie społecznie, prowadząc tzw. „amerykanke”, byli to : kolega bankowiec z Koła Nr 13 **Wacław Brzozowski**, a później **Marian Bak** z WKKFiT, który walnie przyczynił się do rozwoju naszej działalności, wykonując gigantyczną pracę ekonomiczną, przy tak licznej bazie turystycznej, schronisk i stacji, wymienionych wcześniej w niniejszym opisie. Wiceprezes Oddziału kol. **Paweł Golek**, oraz koleżanka **Wiesława Nadaj**, późniejsza księgowa, z Koła Nr 12 przy Państwowym Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym i Elewacji, byli bardzo zaangażowani w prowadzeniu tego Biura. Po przeniesieniu nas do dzisiejszej siedziby przy ul. Władysława Łokietka 2 / 1, rozpoczęliśmy działalność na szerszą skalę. Gdy pojawiła się młoda harcerka, po maturze, **Maria Przewoźniak-Banasiak**, z inicjatywy i przy pomocy, już doświadczonej w prowadzeniu Biura **Joanny Zamoyskiej-Brzezickiej**, postanowiły zreorganizować metody pracy i uporządkować istniejącą dokumentację naszej działalności i to im się udało. Doprowadziły, z kol. **Romanem Supratem** i **Ewą Nowacką**, bez dotacji ZG PTTK, za pośrednictwem „Zakładów Przetwórstwa Warzywno – Owocowego” we Wrocławiu, do kapitalnego remontu schroniska „Srebrny Potok” w Jarkowicach. Patronował temu kol. **Józef Wojciechowski**, nasz przyjaciel, Dyrektor Ekonomiczny tych Zakładów, za co jesteśmy mu dozgonnie wdzięczni. Te koleżanki zorganizowały „Zakład Usług Podwodnych”, który wypracował fundusze na zakup autokaru „Karosa”. W tym okresie pracowali, bardzo dobrzy księgowi : koleżanka **Halina Węgrzyk-Bartyńska**, aż do pójścia na emeryturę - dodatkowo malarka. Drugim kierownikiem finansowym, był wspomniany już **Jan Barć**, współ inicjator założenia ZUP, oraz koleżanka **Bogumiła Jaskólska**. Wówczas to, zakupiono autokar „Karosa”, dzięki życzliwości Dyrektora „Fadromy”, kolegi **Kazimierza Sawickiego**. Jak mam być szczerzy, to kierowników Biura mieliśmy sporo, lecz na uwagę zasługują, tylko **Ewa Busza** – Przewodnik Turystyki Pieszej, Przewodnik Turystyki Kajakowej, Opiekun Zabytków, Organizator Turystyki, gwarantujący sumienną poprawność w pracy -

studentka. Także wymienione przedtem **M. P – B.** oraz **J. Z – B.** o których można mówić w samych superlatywach, jak też koleżanki uniwersalne **Iwona Szyrocka** i **Gabiela Bobnis**, które zawsze próbowały wyprowadzać z kłopotów Oddział, gdy ktoś z pracowników etatowych czy społecznych, w działalności organizacyjnej popełniał „gafę”. Niektórzy z poprzednich kierowników Biura Oddziału, których nie wymieniałem, spoczęli na tzw. „laurach” i zaprzepaścili możliwości poszerzenia i kontynuowania tego co pozostawili po sobie poprzednicy. Nie wymienieni odeszli, a obecnie kierowników Biura nie ma, chociaż kandydatów na siedzenie w pracy, nie brakuje.

W międzyczasie, z różnych przyczyn koleżanka **Joanna Z-Brzezicka**, wyjechała do Krakowa, Główna księgowa **Bogumiła Jaskólska**, w związku z przejściem do innego Przedsiębiorstwa, zrezygnowała z pracy, a **Maria Banasiak**, prowadząca na prośbę Oddziału schronisko „Srebrny Potok” z powodów rodzinnych, też zrezygnowała.

Rozpoczęły się kłopoty, zmiana ustroju, inflacja i nieudolny kierownik z „mądrym” księgowym, doprowadzili Oddział do stanu, który w połączeniu z beztróską w działaniu administracyjnym, postawili Zarząd przed problemem upadłości. Winni „odeszli” i trzeba było rozpocząć działania naprawcze. Najpierw należało wyjaśnić sprawy finansowe, a to mógł wykonać tylko księgowy. Okazało się, że jest to możliwe pod warunkiem uzgodnienia tej trudnej sprawy, z ZUS-em i Izbą Skarbową przy ul. Pretwicza. Z pomocą przyszedł do nas Radca Prawny, kolega **Roman Sobczak**, zapoznał się z dokumentami po kontrolnych Wydziału Finansowego oraz ZUS-u i napisał zdecydowaną odpowiedź na zarzuty stawiane nam w protokole kontroli. Pomagała nam w załatwianiu tej sprawy również koleżanka **Mirosława Ciężkowska**. Skutek tej interwencji był natychmiastowy, Izba Skarbowa oddaliła zarzuty i przekazała sprawę do ponownego rozpatrzenia Urzędowi Finansowemu w Oddziale I-ym. Tu pomoc swoją zaoferowała, niezastąpiona koleżanka **Maria Banasiak**, już mająca dobre rozeznanie w księgowości i jako były kierownik naszego Biura, znająca nasze realia. Okazało się, że ostatni księgowy nie odprowadził do Wydziału Finansowego, podatku od płac na znaczną sumę i wówczas przysłano nam na kontrolę kandydata na policjanta skarbowego, który chciał się wykazać. Gdy stanowisko Głównego Księgowego objęła Pani **Henryka Nowakowska**, zmuszona była przeanalizować dokumentację finansową od 1990 roku, czyli 6 lat wstecz. Na koncie w związku z inflacją zostało tylko 360,- zł. Rozpoczął się wyścig z czasem, zaczęte prace w Jarkowicach jak : **odwodnienie, krycie dachu blachą, pokrycie**

klatek schodowych materiałami niepalnymi, na polecenie Sanepidu i Wydziału Budownictwa, Architektury i Urbanistyki z Kamiennej Góry, wymagały dużych nakładów finansowych, których w tym czasie było brak. Pracownicy etatowi po kolei odchodzili, nie mając nadziei na „godny” zarobek, również część aktywu, zważyła w możliwości naprawy trudnej sytuacji i przyglądali się temu z daleka. Z perspektywą na przyszłość pozostali do działania nieliczni. Główna Księgowa, **Henryka Nowakowska**, **Jerzy Wojtowicz** - wiceprezes Oddziału, prezes **Z W**, oraz kol. sekretarz i skarbnik w jednej osobie **Aurelia Podgórska**, rozpoczęli działania naprawy trudnej sytuacji organizacyjnej i finansowej. Udało się! W Jarkowicach pokryto dach blachą, skończono odwodnienie, zabezpieczono przeciw pożarowo klatki schodowe, a za sprawą wiceprezesa Oddziału, kolegi **Andrzeja Wołoszyna** obiekty zostały podłączone do kolektora, Oczyszczalni Ścieków w Lubawce. Natomiast w Biurze Oddziału, Pani **Henryka Nowakowska**, w systemie gospodarczym i za własne pieniądze, przeprowadziła remont pomieszczeń, w których można było rozpocząć na nowo, działalność klubową istniejących jednostek. W dewastowanym obiekcie „Srebrny Potok” wymieniono administratora. Nowy dzierżawca **Regina Konkel**, przeprowadziła remont, między innymi w niektórych pokojach założono łazienki. Dzisiaj w biurze Oddziału, pracuje na pół „etatu” ? Główna Księgowa, społecznie Prezes, od czasu do czasu stażysta, „pożal się boże”, a zgłaszający się nawet po studiach kandydaci, pytają się o ZUS, nie zaś co by mieli w tym biurze robić. Po za tym rozpoczął pracę, nowo powołany Zarząd.

Do tak skromnej wstępnej informacji dołączam wspomnienia niektórych Kolegów.

Zbigniew Domoślawski „Pół wieku bez mała / z PTTK /”

Zbigniew Domoślawski „Moje spotkanie z profesorem Ludwikiem Hirszfoldem”

Tadeusz Michalski „Wybrane i intymne refleksje emigranta nad historią powstania i 50 – cio lecia dziejów Oddziału PTTK przy Instytutach PAN”

Aleksander Brudnik „Migawki wspomnień o PTTK”

Stefan Rowiński „Moje więzi z Jubilatem – Oddziałem PTTK przy Instytutach PAN we Wrocławiu”

Włodzimierz Jencylik „Wspomnienia kajakarza z okazji jubileuszu 50 –lecia Oddziału PTTK PAN”

Zygmunt Wojciechowski „Rajd - Bieszczady 1955”

Liczę, że stanie się to zachętą dla innych, sięgnięcia po pióro i opisanie własnych przygód, wrażeń i refleksji. „Niech nie spowije ich mrok zapomnienia, niech ocaleją dla następnych pokoleń turystów”.

Piszący wspomnienia, serdecznie dziękuje za pomoc w wydaniu „Przyczynku do historii Oddziału” następującym kolegom : **Stanisławowi Gduli, Aleksandrowi Brudnikowi, Romualdowi Duniczowi. Andrzejowi Wołoszynowi oraz Jerzemu Matyjaszowi.**

Załączam również fragmenty historii Oddziału w wierszach.

z poważaniem pozostaje
Zygmunt Wojciechowski

II – gie wydanie, poprawione i uzupełnione.

Wrocław, 15 września 2005 r.

Zbigniew Domosławski

PÓLWIEKU BEZ MAŁA / z PTTK /

Jako chłopiec nie wykazywałem specjalnych zainteresowań krajoznawczych. Krótkie zetknięcie się z harcerstwem – dało jedynie poznanie najbliższych okolic, a wyjazdy rodzinne do Krynicy, Szczawnicy, czy Worochty – miały raczej charakter wypoczynkowy niż turystyczno-krajoznawczy. Dopiero pobyty na koloniach Lwowskich, organizowanych dla młodszej młodzieży w Rymanowie, a dla starszych w Siankach / koło Turki, dziś

już poza granicami Polski /, rozbudziły me zainteresowania krajoznawcze. „Tliły” się one przez okres pewnej biedy i niedostatku w czasie trzech okupacji we Lwowie i w niełatwym okresie studiów lekarskich w zniszczonym powojennym i biednym Wrocławiu.

Ale już po zakończeniu studiów w 1951 roku, dzięki Zygmuntowi Saganowi, którego poznałem bliżej w Sodalicii Mariańskiej Akademików we Wrocławiu, zbliżyłem się do grupy skupionej wokół Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno – Krajoznawczego przy Instytutach Polskiej Akademii Nauk.

A warto przy okazji nadmienić, że Polskie Towarzystwo Turystyczno –Krajoznawcze powstało w roku 1950 z połączenia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego /początkiem swym sięgającego 1873 r. / i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego /założonego w 1906 roku /, przejęło nie tylko najlepsze tradycje swoich korzeni, ale też w nie - zwykłe umiejętny i owocny sposób wykorzystano ów dozwolony reglamentowy zakres swobody na jaki zezwalał im statut. Stanowiło ono jak na owe czasy dość masową organizację społeczną, grupującą osoby uprawiające turystykę / wyjazdy poza miejsce pobytu dla rozrywki czy wypoczynku /, ale też i krajoznawstwo /poznawanie wszelkich możliwych osobliwości danej okolicy geograficznych, historycznych, etnograficznych czy innych /, właściwie oddzielić się nie da.

Najbogatszy we wspomnienia jest dla mnie okres do roku 1958, kiedy to mieszkałem we Wrocławiu i zatrudniony byłem w Akademii Medycznej. Jeszcze przed formalnym wstąpieniem do PTTK / 01. 01. 1954 r./, brałem dzięki Zygmuntowi Saganowi udział w licznych wycieczkach w okolice Wrocławia, - do Ziemi Kłodzkiej i Jeleniogórskiej. Miałem okazję poznać Zygmunta Wojciechowskiego, współzałożyciela Koła PTTK PAN a przy tym animatora imprez turystycznych, którą to funkcję pełni po dzień dzisiejszy. Nie tylko z nim, ale również z innymi uczestnikami wycieczek, do dziś zachowały się żywe kontakty, mimo, iż nowe warunki życia w Jeleniej Górze /a szczególnie włączenie się w lokalną imprezę turystyczną „W Niedzielę nie ma nas w domu”/, ograniczyły nasze kontakty do okolicznościowych, spotkań, wymiany odznak, publikacji, czy życzeń Świątecznych. Ale więź pozostała do dziś, a także nieprzerwane członkostwo, z regularnie opłacanymi składkami, ostatnio już jako emeryta. Mimo, iż z tego okresu zachowały się jedynie zapiski na marginesach przewodników turystycznych, a także obok odznak kilka zdjęć, dziwnym i mnie się wydaje, jak mocno te moje wspomnienia i spotkania trzymają się pamięci – jak są żywe, mimo iż sięgają swymi początkami bez mała pół wieku.

Na Dolnym Śląsku, nie zaniehbując kotliny Jeleniogórskiej, ulubionymi miejscami

wycieczek niedzielnych były Góry Stołowe, a szczególnie ich labirynty, przejścia wąwozów, korytarze skalne owe nie zapomniane skalne grzyby, młoty, maczugi i inne fantastyczne twory przyrody. Ulubionym też naszym schroniskiem było w sąsiedztwie Dusznik Zdroju schronisko PTTK „Pod Muflonem”. Trudno nie wspomnieć o Zieleńcu, szczególnie słynnym z tego, że obok schroniska „Wrona” były doskonale tereny narciarskie, a także utrzymująca się pokrywa śnieżna.

Pewną egzotykę stanowiły nocne rajdy na Sobótkę / Ślężę/, która jako rezerwat przyrody, cieszyła się ożywionym ruchem turystycznym, a schronisko zapewniało nam nocleg, z samym szczytem- mającym swą historię jako ważny ośrodek kultowy w przeszłości, a po wojnie cel licznych wycieczek, z którym wiąże się wiele legend. Natomiast sama wieś Sobótka u północno – wschodniego podnóża Ślęzy, to nie tylko ośrodek wypoczynkowy dla Wrocławia, ale zabytkowych kościołów, gotyckiego św. Anny i barokowego św. Jakuba oraz monumentalnych rzeźb granitowych jeszcze z okresu przedchrześcijańskiego. Owe rzeźby około których powstały liczne hipotezy – to niemi świadkowie wczesnohistorycznych dziejów Ślęzy, wszak istniała tu osada słowiańskiego plemienia Ślęzan.

Tradycją obrosły „Rajdy Świętokrzyskie”, na przełomie kwietnia i maja. Pozwoliły one nam nie tylko na krótki wypoczynek, ale też spotkanie z wczesną florą Gór Świętokrzyskich, z wieloma zabytkami, a także na zacieśnienie więzi przyjaźni i długie rozmowy przy ognisku. Oczywiście noclegi mieliśmy zapewnione w stodołach, ale zaprowiantowanie było we własnym zakresie. Gotowaliśmy na własnych kuchenkach, trzeba było samemu przygotowywać posiłki, oczywiście dzieliliśmy się na prawo i lewo tym co posiadaliśmy. Jeżeli nawet ktoś zafundował sobie np. herbatę w schronisku, to był uważany za „utrącjusza”, gdyż przypominano mu „kto tu kupuje herbatę, kiedy litr wrzątku jest za jedyne 50 groszy”. Takie to były czasy, ale humoru i zadowolenia z całej imprezy nie brakowało. „Spiritus Movens” tych rajdów był niezastąpiony, dwojący się i trojący się, doglądający niemal każdego szczegółu „Zyzio”, gdyż tak nazwany został Zygmunt Wojciechowski, z lwowska, z nieukrywana ogólną sympatią i życzliwością.

W tym okresie przyroda dopiero budziła się do życia, ale na słonecznych zboczach, brzegach lasów i miedzach, spotykaliśmy kwitnące okazy tarniny, zwykle wyprzedzające pojawienie się liści. Pogoda nam sprzyjała i takie widoki zachowaliśmy na stałe w pamięci. Trasa nasza usiana też była niebiesko – fioletowymi kwiatami - bluszczyka kurdybanka, którego w tym czasie pełno było w lasach i zaroślach przez które wędrowaliśmy. Będąc w Kielcach odwiedziliśmy też rezerwat geologiczno – botaniczny na wzgórzu zwanym Kadzielnia. Była okazja podziwiać Łysogóry, z najwyższym szczytem tegoż

łańcucha górskiego – Łysicą. Wieczorem nasze koleżanki – niejednokrotnie późniejsze panie profesor, urządzały swoiste tańce przy ognisku – powtarzając starą śpiewkę „Hu-hu-ha na Łysicę wiedźma gna”. A w ogóle całe towarzystwo nie było pozbawione swobodnego humoru – mimo, iż na trasie nie było mowy o alkoholu, na który niezależnie od poglądu na abstynencję, nie było nas po prostu stać, zresztą grupa była bardzo zdyscyplinowana. Owo przechodzenie na ty, nie było w modzie i ograniczało się tylko do dłuższych znajomości. Ale panowała równość, nikt się nie wywyższał, a nawet pomniejszał swoją pozycję naukową – przykładowo koleżanki na zapytanie gdzie pracują odpowiadały a ja to jestem z „Collegium Gnoicum”(Akademia Rolnicza). Obok barokowej katedry w Kielcach z licznymi zabytkami rzeźby i malarstwa, pozostał nam w pamięci bogaty w zabytki gotycki kościół w Bodzentynie, z renesansowym ołtarzem głównym z katedry na Wawelu oraz klasztor św. Katarzyny, imponująco prezentujący się na tle Puszczy Jodłowej.

Inny charakter miały tzw. „wczasy wędrownie” zakupywane zwykle, jeśli nie wyłącznie dla członków PTTK, to zwykle z ich głównym udziałem M.I. częściowo pieszo, po przyjeździe do Szczecina, przeszliśmy przez wszystkie możliwie dostępne godne uwagi miejsca Wolińskiego Parku Narodowego. Był też czas na krótki wypoczynek w Dziwnowie, Międzyzdrojach, odwiedzenie ruin kościółka w Trzęsaczu czy też najstarszej osady słowiańszczyzny w Wolinie. Katedra św. Wojciecha była jeszcze w ruinie, tuż przy wejściu leżał duży pęknięty dzwon, za to jeziora, piękne lasy, strome brzegi morza, wspaniała letnia przyroda, pozwalały zapomnieć o ogromnych zniszczeniach, których ślady były szczególnie widoczne w Szczecinie i Wolinie.

Najdłuższe bo blisko dwutygodniowe wędrowki czekały uczestników „Wysokogórskiego Rajdu Tatrzańskiego” w sierpniu 1956 roku, był to już III – ci. Pogoda nam wyjątkowo dopisywała, tak że można uznać zarówno start jak i zakończenie w nieistniejącym już dziś schronisku im. ks. Stolarczyka w Zakopanem, za udany. Wymienię tylko najważniejsze miejsca, gdyż o nich szczegółowo informują powszechnie znane przewodniki turystyczne. Udziałem naszym, było przejście dwóch walnych dolin tatrzańskich – Chochołowskiej i Kościeliskiej, wejście na Giewont, przejście Orlej Perci oraz przez Zawrat do Morskiego Oka. Noclegi w uprzednio zamówionych schroniskach górskich, gdzie obok na zakończenie dnia rozpalaliśmy ogniska / watrę /. Z Morskiego Oka, udaliśmy się na Łysą Polanę, a stamtąd na krótki pobyt w Popradzie. Stało się to dzięki otrzymanej przepustce zbiorowej uprawniającej do pobytu w tzw. podówczas „obszarze konwencji turystycznej w CSRS” / Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej /. Był to

już bowiem okres zbliżającej się odwilży.

Przed zakończeniem rajdu z Głodówki podziwialiśmy panoramę Tatr, uchodzącą za jedną z najwspanialszych. Nie daliśmy jednak za wygraną i prawie wszyscy uczestnicy skorzystali już w własnym zakresie z możliwości spływu łodziami przez Przełom Dunajca z Czorsztyna do Szczawnicy.

W tym okresie jeszcze poza przepustkami na obszar konwencji w Czechosłowacji o innych wyjazdach za granicę nie było mowy. Przepisy ulegały powolnej liberalizacji, a kieszeń najczęściej asystencka nie zawsze pozwalała nawet na takie „luksusy”, jak owe rajdy w możliwie najskromniejszych warunkach.

Właściwie przewodników nie było, byli kierownicy grupy. Jak więc poruszaliśmy się po terenie? Wiadomo, że w Tatrach był potrzebny kwalifikowany przewodnik, ale w wycieczkach w małych grupkach mogliśmy poruszać się sami. Warto przytoczyć tu cytaty z Mieczysława Orłowicza „Moje wspomnienia turystyczne” Wrocław 1970 / autor i dzieło rekomendacji nie wymagają / ... „Prawdziwy krajoznawca przewodników po terenie /ciceronów/ nie potrzebuje. Sam po kilku latach doświadczeń powinien wyrobić w sobie zmysł orientacyjny oraz umiejętność korzystania z opisów i map, do tego stopnia, że może być przewodnikiem dla innych” . . .

„Krajoznawcą nie zostaje się od razu, po jednej wycieczce . . . Często znowu się zdarza, że ktoś czy to na podstawie studiów w szkole średniej, czy też w szkołach wyższych, zapragnie wiedzieć to, o czym się uczy, i w terenie przekona się, że żadna książka nie da tego, co ujrzeć osobiście czy krajobrazu własnymi oczyma. Jeżeli ma odpowiednie zainteresowanie psychiczne, wkrótce zostanie zamiłowanym wędrowcem-krajoznawcą, rozszerzając swą wiedzę krajoznawczą na coraz to inne specjalności, na coraz to inne okolice”. / op. cit. 606 . Tym cytatem pragnę zakończyć swe spotkania z przeszłością, uzasadniając to tym, że jest to też pewne przesłanie tego zasłużonego działacza turystycznego „sui generis”, filozofia odkryta po latach (kiedy to nie wiedząc o tym co napisał Orłowicz - praktycznie się do tego stosowałem).

Obroty czasu są nieubłagane, nie wszyscy zostali we Wrocławiu, ale mimo to iż zamieszkujemy w dość dużym rozsiewie geograficznym od miasta naszych studiów i pierwszych lat pracy oraz niezapomnianych wędrowek, obok pamięci, pozostały silne więzy, mimo odległości i czasu – stanowiące żywą tradycję na przestrzeni bez mała półwiecza. Zasługuje to na bliższą znajomość u młodszej Generacji. Oczywiście pewne formy uprawiania turystyki są już dziś niepowtarzalne, ale przyjaźń, a czasami pamięć o ludziach życzliwych i bezinteresownych jest czymś trwałym, czego z pamięci wy –

mazać się nie da, podobnie jak przeżytych impresji turystyczno – krajoznawczych. Równie trwałe są refleksje filozoficzne choćby te Orłowicza na temat turystyki, do których różnymi drogami dochodzi się też pod koniec życia .

Zbigniew Domosławski

Referat wygłoszony w rocznicę śmierci profesora Ludwika Hirszfelda (1884-1954) w pamięci i strzępach notatek powojennego studenta, na Jubileuszowym spotkaniu 50 – lecia Oddziału PTTK PAN we Wrocławiu dnia 20 kwietnia 2004 r.

„Moje spotkanie z profesorem Ludwikiem Hirszfoldem”

Ludwik Hirszfelfd urodzony 5 sierpnia 1884 r. w Warszawie, wywodził się ze spolszczonej rodziny żydowskiej o tradycjach patriotycznych i chrześcijańskich. Przybył do Wrocławia 1945 r., jako światowej sławy lekarz, mikrobiolog, immunolog, serolog. Był współorganizatorem Wydziału Lekarskiego podówczas Uniwersytetu i Politechniki, pierwszym dziekanem, kierownikiem Katedry i Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej oraz dyrektorem powstałego pod koniec Jego życia Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk.

Już w latach 1907 – 1911 po studiach lekarskich odbytych w Wurzburgu i Berlinie, współpracując w Heidelbergu z Emilem von Dungernem, był współtwórcą podstaw nauki o grupach krwi. Autorzy wykazali, że cechy grupowe krwi dziedziczą się według praw Mendla i sklasyfikowali je w grupy: A, B, AB i 0. W czasie I wojny światowej wyjechał wraz z małżonką, też lekarką, na teren Serbii, gdzie zajmował się zwalczaniem epidemii duru plamistego. W tym czasie odkrył pałeczkę duru rzekomego C, noszącego do dziś nazwę Salmonella Hirszfeldi. Przed II wojną światową był współorganizatorem Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie, kierownikiem, zastępcą dyrektora i animatorem prac naukowych. Wolna Wszechnica Polska, która była prywatną wyższą szkołą utworzoną z Towarzystw Kursów Naukowych i obejmowała wydziały: matematyczno-przyrodniczy, humanistyczny, nauk politycznych i społecznych oraz pedagogiczny - stworzyła specjalnie dla niego katedrę „ad personam”. W czasie okupacji niemieckiej został osadzony w getcie warszawskim, a po udanej ucieczce przez resztę okupacji ukrywał się pod przybranym nazwiskiem. Przed przybyciem do Wrocławia w 1944 r. w Lublinie brał czynny udział w tworzeniu uniwersytetu Marii Curie- Skłodowskiej, którego był prorektorem.

Spośród 395 pozycji bibliograficznych (wymienionych w publikacji „Ludwik Hirszfelfd” pióra Hanny Hirszfeldowej, Andrzeja Kelusa i Feliksa Milgroma, Wrocław 1956), obok wspomnianych już, które zapoczątkowały nową dyscyplinę - seroantropologię, zasługują na przypomnienie pionierskie prace nad immunologią nowotworów, problemami immunologicznymi w gruźlicy. We Wrocławiu pracował nad metodą ratowania noworodków zagrożonych konfliktem serologicznym, w leczeniu choroby hemolitycznej noworodków zastosował przetaczanie wymiennej krwi; wprowadził oznaczenie czynnika RH. Publikacje jego ukazywały się również w językach: angielskim, francuskim, niemieckim i serbskim. Intensywnej działalności naukowej towarzyszyła żywa działalność organizacyjna, dydaktyczna, społeczna, a nawet literacka.

W roku akademickim 1948/49, w półroczach zimowym i letnim jako student III roku Wydziału Lekarskiego w owym czasie Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu - słuchałem wykładów profesora Ludwika Hirszfelda, które – jak mogę odczytać dziś z pozółkłych już kart indeksu, nosiły tytuł „Mikrobiologia lekarska”. Odbywały się one w nie istniejącej dziś (po przebudowie w następnych latach) sali wykładowej przy Zakładzie Mikrobiologii. W owych czasach, gdy posiadanie podręcznika należało raczej do wyjątków, frekwencja dopisywała na wszystkich wykładach. Każde słowo wykładowcy było uważnie „łowione”, skrzętnie notowane z myślą o przyszłym egzaminie. A wiadomo było, że używanie zwrotów wykładowcy było przez każdego niemal profesora – egzaminatora bardzo dobrze widziane i ratowało nieraz w trudnych sytuacjach przed „oblaniem” egzaminu. Przyjęło się bowiem mówić, że dany student myśli. Podobnie było z wykładami profesora Hirszfelda. Obok licznych studentów z Wydziału Lekarskiego i Nauk Przyrodniczych, na wykładach jawili się niemal „in corpore” adiunkci i asystenci Katedry Mikrobiologii. Zwracali oni na siebie uwagę i wprost zachwycali się licznymi dygresjami naukowymi profesora, dotyczącymi zarówno aktualnie wykładanego materiału, jak i historii problemu, czy licznymi wspomnieniami z barwnego życia profesora i jego refleksji naukowo-filozoficznymi. Interesowały one mniej studentów, którzy byli zainteresowani w możliwie szybkim czasie zaliczeniu wszystkiego i kończeniu studiów. A warto nadmienić, że na drugim powojennym roczniku Wydziału Lekarskiego nie brakowało też studentów starszych, spośród których najstarsza osoba miała około pięćdziesiątki. Gdy jednak studenci zaopatrzyli się w wydane w Szwecji „jako dar rządu szwedzkiego dla odbudowy kultury polskiej” podręczniki L. Hirszfelda „Immunologia ogólna” i Z. Szymanowskiego „Mikrobiologia ogólna”, frekwencja na wykładach wyraźnie zmniejszyła się. Profesor zdążył zapalić tylko garstkę biologów i nie licznych lekarzy do pójścia w jego ślady. Autor tych refleksji wybrał internę uściśloną później do kardiologii, równoległe niemal podążając ścieżkami historii medycyny.

Ale profesor Hirszfeld zawsze umiał odczuwać potrzeby młodzieży i wychodzić im naprzeciw. Między innymi wyraził zgodę, ażeby egzaminy z mikrobiologii zdawać już po trzecim roku (zdawano je nieraz dopiero po absolutorium). Panował bowiem niepisany zwyczaj, ciągnący się od czasów przedwojennych, że po ciężkich egzaminach po II roku studiów (rygorach), na które składały się anatomia opisowa, histologia, chemia fizjologiczna, fizjologia i biologia – studenci mieli kilka

lat zalegalizowanej przerwy w składaniu egzaminów, a do przejścia na czwarty i piąty rok wystarczyło samo zaliczenie. Gdy profesor zgodził się na wcześniejszy egzamin, ożywiło to zainteresowanie mikrobiologią i immunologią, studenci nie mając innych egzaminów solidnie przyłożyli się do nauki, już nie tyle z wykładów co z książek. Czego więc nie udało się uzyskać profesorowi za pomocą wykładów, które bardziej pociągały wytrawnych słuchaczy niż studentów trzeciego roku to uzyskał wyrażeniem zgody na wcześniejszy, niż było dotąd praktykowane, egzamin. Wyniki egzaminu były w dużym stopniu dobre i bardzo dobre. Urządzane przez profesora seminaria, pisanie referatów, co było dla studentów czymś nadobowiązkowym, jak w moim przypadku „O grupach krwi i plejadach izozerowych”, pozwalały bliżej wejść w tajemniczy świat medycyny, którego poznanie było możliwe tylko drogą badań laboratoryjnych.

Po egzaminie miałem nawet propozycję pracy u profesora, cóż kiedy po trzecim roku każdy niemal chciał operować. Jako jedną z najcenniejszych pamiątek ze studiów zachowuję dedykację na „Immunologii ogólnej” po bardzo dobrze zdanym egzaminie. Na tym mój osobisty kontakt z profesorem się skończył.

Jako świeżo upieczony lekarz niejednokrotnie byłem świadkiem wystąpień profesora i jego współpracowników na zebraniach Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, które w tym czasie pełniło wyjątkową rolę integracyjną i było niemal jedynym forum społecznego kształcenia podyplomowego. Referaty te były zawsze bardzo starannie przygotowane, licząc się z poziomem przeciętnego lekarza otwierając też drogę do dyskusji, refleksji i zapytań. Korespondowało to z jednym z aforyzmów profesora „że potrzeba być entuzjastą na początku pracy, a krytycznym po jej zakończeniu”.

Profesor Hirszfild pozostał w mojej pamięci również jako autor „Historii jednego życia”, która była nie tylko dokumentacją jego dokonań życiowych, ale też zawierała szereg przemyśleń. Stąd jej pełna recepcja przekraczała możliwości intelektualne przeciętnego studenta. To wszystko zaowocowało dopiero po latach: a więc sposób myślenia profesora, że każdy entuzjazm i koncepcja naukowa wymaga swej obiektywizacji, że prawda jest zawsze jedna na ten sam temat, a różne drogi do niej prowadzą, że obok wymiaru przyrodniczego istnieje w medycynie równie ważny wymiar etyczny. Trzeba podnieść, że przeciętnemu studentowi chodziło w tym okresie o cele doraźne - możliwie najszybsze ukończenie studiów, a profesor sięgał w przyszłość i widział drogi rozwoju medycyny i nauki najsze-

rzej pojętej.

Immunologia kliniczna, wydawała się nie tylko mnie, ale i rówieśnikom raczej marzeniem naukowym niż rzeczywistością kliniczną. A dziś, po z górą pół wieku nie trzeba udowadniać roli immunologii w klinice, podziwiać jedynie należy jak przewidujący był profesor Hirszfeld. Ów „prewidyizm medyczny” cechował profesora w niejednej sprawie, co zresztą w okresie późniejszym podnosili nie tylko teoretycy, ale i klinicyści; umiał on nie tylko popularyzować i „wmontowywać” w praktykę bieżące odkrycia – ale też tak trafnie przewidzieć przyszłą rolę immunologii w klinice. Profesor wychował też liczne grono uczniów, a jego sylwetkę chyba najbardziej charakteryzuje to, co o nim napisał Paweł Jasienica „Nauczyciel, który się nie bał uczniów”. Profesor zmarł dnia 7 marca 1954 roku, a w jego pogrzebie uczestniczyły rzesze mieszkańców Wrocławia.

Pamięć o profesorze Hirszfeldzie jest ciągle żywa. Pamiętają o nim liczne rzesze studentów, dziś już w wieku emerytalnym, a Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN nosi jego imię, w czym uprzedził Akademię Medyczną. Ostatnio prof. Jerzy Strojnowski w Encyklopedii Katolickiej, Lublin 1993, tom VI s.936-937 pisząc o Hirszfeldzie wyeksponował aktualność jego poglądów filozoficzno – etycznych w takich dziełach, jak : „Historia jednego życia”, „Immunologia ogólna” czy „Myśli”. Może dla rozwoju życia naukowego potrzebne są nie tylko struktury formalne (warsztaty naukowe, własne pisma, towarzystwa naukowe, możliwość drukowania w kraju i za granicą), ale również odpowiednia atmosfera placówki naukowej kształtowana przez kierownika, pobudzająca samodzielność myślenia i twórczy niepokój. Celem nauczania w szkołach wyższych powinno być nie tylko przekazanie wiedzy jako zespołu faktów, ale też nauczanie myślenia i kształtowania osobowości. Lata płyną, niemal każde osiągnięcie naukowe z czasem staje się pewnym etapem na drodze rozwoju medycyny. Większą trwałość wykazują pewne solidnie przemyślane i sprawdzone w praktyce idee filozofii nauki i związanymi z nią nieodłącznie etyką i logiką. Podzielając konkluzje profesora Strojnowskiego, warto podnieść też trwały wkład profesora Hirszfelda do filozofii zarówno medycyny, jak i nauki. Zrozumienie tego przychodzi z wiekiem i w moim odczuciu problemu wykraczało to poza możliwości poznawcze powojennego studenta.

Zbigniew Domosławski prof. emeritus AM

Tadeusz Michalski

O naszym dzisiejszym Świącie wiedziałem już od dłuższego czasu. Wydało mi się rzeczą wręcz pożyteczną, żeby z **Francji** przyjechać aż tu – do **Polski** - do **Wrocławia** ! I oto jestem tutaj wśród Was – ja, który kiedyś – właśnie **50** lat temu – miałem ten **Wielki Przywilej** być jednym z inicjatorów i współzałożycieli tego Oddziału . Przybyłem tu między innymi i po to, by poczuć się w miłym obowiązku wypowiedzenia kilku słów ! Moje wynurzenia obdarzyłem następującym tytułem :

WYBRANE i INTYMNE REFLEKSJE EMIGRANTA

nad Historią Powstania i 50-cio lecia Dziejów Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno – Krajoznawczego przy Instytutach Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu .

Spisane w Paryżu na przełomie listopada i grudnia roku Pańskiego 2001.

Wygłoszenie tego wszystkiego będzie dla mnie wzruszające – łatwe i trudne zarazem !

Łatwe – ponieważ z górą 20 lat żyłem i pracowałem wśród Was . Wspomnienia Tamtych dni – między 1951 a 1971 rokiem są niezwykle żywe i cenne, choćby tylko dlatego, że były nacechowane entuzjazmem okresu naszej młodości. A przecież początki tych czasów wtedy, nie były proste – żyliśmy w ciężkiej i ponurej epoce stalinizmu .

Moja dalsza wypowiedź będzie trudna zarazem, ponieważ ponad 30 lat żyję we Francji, a więc ten okres od 1971 roku do dziś jest mi znany tylko pośrednio fragmentarycznie z corocznych, krótkich pobytów w Ojczyźnie i z naszych PTTK-kowskich spotkań na Zachodzie .

Szczera, prawdziwa przyjaźń, jaka łączy mnie z Zyziem – Prezesem, od początku naszej znajomości, od 1952 roku aż po dzień dzisiejszy, a także przyjaźń czy zażyłe koleżeństwo z wieloma z Was, obecnych tutaj – ułatwia mi ogromnie spojrzenie wstecz, mimo tylu długich lat – kiedy mnie w Kraju nie było.

Ale dla porządku kilka drobnych, osobistych faktów : Mój Ojciec, wieloletni aktywny członek Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego – wytrawny turysta i narciarz wszczepił mi od dziecka zamiłowanie do górskich wędrówek . Już jako 5-cio letni chłopiec poznałem polskie Tatry, Karpaty i Beskidy.

Po latach okupacji hitlerowskiej, uczęszczając do gimnazjum i liceum w Kłodzku należałem do Harcerstwa – a czyż nie było ono wtedy prawdziwą szkołą turystyki, umiłowania przyrody i patriotyzmu !?

Później moje jakże liczne piesze, rowerowe i narciarskie wędrówki po Ziemi Kłodzkiej przydały mi miano ” Włodarza tej Ziemi”! Ale to było wtedy, kiedy już powstało nasze młode koło a później Oddział PTTK PAN .

Jeszcze dla rzetelnej chronologii trzeba dodać, że przecież na początku studiów

biologii tu we Wrocławiu stworzyliśmy, kilku zapaleńców – grupę tzw. „Łazarzy” (od łożenia – łożikowania).

I te właśnie elementy: - Dom Rodzinny, Harcerstwo, intymność samotnej włóczęgi i lata studiów – to były na pewno bodźce, jak mówią Francuzi – „declics” do dalszej mojej, bezinteresownej działalności w turystyce.

Z prawdziwym wzruszeniem wspominam już w powstającym Oddziale PTTK-PAN, nasze społeczne oddanie, w renowacji „Wrony” dziś „Orlicy” w Zieleńcu – nasz wymarzony, ale nigdy nie uruchomiony wyciąg narciarski, zabrany nam przez OSIR miejscowy – przemile spotkania, obozy z Politechniką i Akademią Medyczną w naszym schronisku – i to wszystko co po nas zostało !!!.

Komentarz

Dziś kiedy co roku jestem w Polsce zawsze odwiedzam Zieleniec, ponieważ nasz zapal w odbudowie wtedy ogromnie zaniedbanego hotelu górskiego - był niezwykle szczerzy i prawdziwy! Przez długi czas każde wolne dni spędzaliśmy tam wspólnie i jakże byliśmy dumni, że wszystko urządziliśmy jak trzeba!

A nasze jakże liczne wycieczki na Śnieżnik Kłodzki, gdzie urzeczony urokami zimowych krajobrazów spisałem moje niezapomniane wrażenia z tych pobytów, wydrukowane w ówczesnym miesięczniku „Turysta” pod tytułem „Zimowy urok Śnieżnika”.

Pobyty tamże były już wtedy jakimś symbolem. Po trudach pieszej wędrowki z Międzygórza na Polanę do schroniska „Pod Śnieżnikiem” - odnosiliśmy wrażenie, że piękno tych okolic pozostanie w nas na długo, i tak stało się naprawdę!

A nasze rajdy w Bieszczady tuż po „Pacyfikacji” tych terenów! Wspomnienia stamtąd, zastygłe na kilku fotografiach.

Pierwsze nasze obozy w Tatrach Słowackich – dostępne wtedy tylko posiadaczom tzw. „Karty Turystycznej”.

Znojny trud w zdobywaniu przeróżnych odznak turystycznych!

A nasze urokliwe „Ekspresy Narty” w rozmaite miejscowości Sudetów i Karkonoszy. Wkrótce po Zieleńcu powstałe Jarkowice i inne Stacje Turystyczne, a było ich około 25, gdzie przecież również bywałem.

Chronologia dziejów naszego Oddziału jest bardzo różnorodna i ciekawa. Nie czuję się powołany do tego by ją dokładnie opisać i ocenić, bo przecież tak dawno wyemigrowałem z Kraju. Chciałbym jednak w moich refleksjach zwrócić szczególną uwagę na coś, co dla mnie jest ogromnie ważne i cenne: jak już wspomniałem,

początki naszych działań w turystyce powstawały w trudnym okresie naszej polskiej egzystencji . Dzisiaj z odległej perspektywy czasu mogę to bliżej i obiektywniej - tak mi się przynajmniej wydaje – ocenić !

Tamte lata cechowała bezinteresowność, pasja, solidarność w działaniu, nawet patriotyzm i wierność pewnym, wybranym zasadom . Moja działalność w turystyce ówczesnych lat była oazą jakby bezpieczeństwa i spokoju ! Aktywność w pracy społecznej w grupie ofiarnych działaczy naszego PTTK - u, wśród Rodaków, przyjaciół i kolegów była rękojmnią jakiejś małej stabilizacji !

I jeszcze ważna druga strona moich spostrzeżeń : to, co wyniosłem z doświadczeń mojej wieloletniej działalności, głównie w turystyce górskiej i narciarskiej – tutaj w Ojczyźnie – udało mi się bez żadnego trudu przenieść do Francji – Kraju mojej adopcji . Tu właśnie, w czasie mojej 25-letniej, skromnej kariery zawodowej, jako aktywista tzw. komitetu zakładowego (comite d'entreprise) zawsze organizowałem zimowe wypady w Alpy, Masyw Centralny i Pireneje .

I jest rzeczą wprost zaskakującą : atmosfera naszych spotkań choćby przy wspólnym stole, czy na łonie przyrody w majestacie gór – była do złudzenia podobną – jeśli nie taką samą jak wtedy, wiele lat temu w Polsce ! Było to zasługą moją i Was, działaczy naszego Oddziału. I za to dziękuję Wam serdecznie! Bo działając wspólnie, stwarzaliśmy razem ten prawdziwy nastrój swobody i radości ! Turystyka, to przecież między innymi zwykły, ale szlachetny sposób wypoczynku !

Przed kilkoma laty w skromnym i serdecznym, kameralnym spotkaniu wręczono mi medal i dyplom 30-to lecia . Dziś spotykam się z Wami znowu we Wrocławiu z okazji 50-ciolecia . To spory kawał czasu jaki przeminął .

I ja również kończąc 71 lat i prawie już połowę życia spędzając poza Krajem Ojczystym mogę – wydaje mi się – dokładniej spojrzeć wstecz – zobaczyć to, co już poza nami !

Na pewno w kuluarach naszego spotkania będziemy sobie mogli wiele rzeczy naopowiadać, przypomnieć wiele faktów, wiele anegdot .

Nie chciałbym Was, moi Drodzy, zanudzać refleksjami natury czysto osobistej . Nie chciałbym popaść w banalny sentymentalizm !

Ale wierzcie mi, że może nawet zbyt często, daleko stąd – zaglądam do fotografii z tamtych czasów ! A mam ich bardzo dużo ! Pokazują one to, co było i jest w życiu szczególnie bliskie i warte zachodu ! Magią fotografii, jak wszyscy wiemy jest to, że utrwała ona moment, jakąś czasem złudną chwilę, drobny fakt ; Ale kiedy po

wielu, wielu latach ogląda się te czasem jakby banalne widoki, zastygłe na fotograficznym papierze – to wszystko co działo się wtedy wokół tego - wraca ze zwielokrotnioną siłą !

W moim życiowym bałaganie postarałem się odtworzyć i odnaleźć to i owo, by w jakiś logiczny sposób popatrzeć na historię już 50-cio letniej działalności naszego Oddziału . Po tylu latach nieobecności tutaj rwą się pewne fakty, wspomnienia zacieśniają się i bledną, ale jednak jak w jakiejś układance można coś znaleźć i ułożyć wydarzenia, żarty, anegdoty . O, właśnie anegdoty ! Na przestrzeni tylu lat błyskotliwe nieraz dzieje naszego Oddziału obfitowały w humorystyczne momenty. Nie będę ich tutaj przedstawiał – „noblesse oblige” ! Zapraszam do rozmów w kulisach – tam dowiemy się o wszystkim !

Wybaczcie mi, że moje spostrzeżenia są może zbyt lapidarne, że zbyt chaotyczne. Wypowiadam tych kilka słów z prawdziwym wzruszeniem zaszczycony tym, że jestem we Wrocławiu wśród Was !

I jeszcze jedna mała chwila uwagi : kiedy po 18-tu latach przymusowej nieobecności w Ojczyźnie, powracałem na Jej łono na krótki, urlopowy czas – pierwszą rzeczą na gremialnym spotkaniu z kolegami i przyjaciółmi z przed wielu lat było stwierdzenie, że po moim definitywnym wyjeździe z „Kraju lat dziecińczych” - coś jakby zamarło, że jakby brakło energii żeby działać ! Poczulem wtedy, że w owych czasach byłem Wam potrzebny, że czemuś służyłem ! Zrobiło mi się żal wtedy samego siebie! Bo nie chodzi oto, żeby popaść w zarozumiałość – nie ! Zrozumiałem jak mogłem najlepiej, że to co wyniosłem dzięki Wam, działaczom naszego Oddziału – było nie zwyczajne, cenne i konieczne – i że był to też z mojej strony jakiś skromny wkład ! Dobrze mnie chyba rozumiecie ! Synteza moich wynurzeń to stwierdzenie faktu, że nasze bliskie, serdeczne powiązania na łonie turystyki, tego fenomenu oazy spokoju, piękna natury, umiłowania Ziemi Ojczystej – było czymś co przetrwało lata i na pewno trwa nadal !

I jeszcze jeden szczegół mojego dawnego PTTK-owskiego żywota ; - nie wiem, ale wydaje mi się, że nikt z Was nie dzielił ze mną prawdziwych losów emigranta - bardzo ważne, żeby moje refleksje były lepiej pojęte i należycie zrozumiane. Co roku w zimie, w Wysokich Alpach spędzam uroczę kilka dni na nartach - wśród moich francuskich kompanów. Wiercie mi, że opowiadam o Was – robię to często, bo zawsze o Was pamiętam !

Wspominając lata młodości, naszego wtedy twórczego entuzjazmu, choćby tylko

w zakresie organizacji i tworzenia, a właściwie tylko kontynuacji pięknej tradycji polskiej turystyki i krajoznawstwa – bo przecież byli przed nami: Zaruski, Chałubiński, Stolarczyk, Karłowicz, Orłowicz i tylu innych – wydaje mi się, że to co nam przypadło w realizacji ich dzieła – wykonaliśmy uczciwie i rzetelnie !

Wy, członkowie naszego Oddziału wiecie lepiej niż ja – ale i ja dobrze pamiętam ówczesne PTTK-owskie władze (nie sposób mi wszystkich wymienić) – w osobach Zbigniewa Kukiza, Aleksandra Rolskiego, Władysława Igielskiego i tych wszystkich działaczy na szczeblu wojewódzkim i centralnym – kiedy pomagali nam z pełną życzliwością ! Często wiedliśmy z Zyziem „długie nocne Rodaków rozmowy” i stwierdziliśmy zgodnie, że robili to tak naprawdę, stąd mój ukłon w ich stronę i podziękowanie !

Pamiętam też, że kiedyś, kiedy „naiwny i swawolny” wtedy Zyzio wmawiał mi uparcie, że w końcu Oddział będzie miał własny autokar, żeby ludzi wozić po świecie – myślałem, że zwariował ! A po kilku latach czatował u drzwi naszego mieszkania we Francji, wtedy w Bordeaux, bo rzeczywiście przyjechał naszym PTTK-owskim autokarem. Innym razem spotkaliśmy się na campingu w Lasku Bulońskim, żebym Wam towarzyszył jako nietatowy przewodnik po Paryżu i Zamkach nad Loarą .

Pozwólcie mi więc – odżegnując się od „kultu jednostki” - krzyknąć „Sto lat” Zyziovi – naszemu wieloletniemu – żelaznemu Prezesowi ! „Sto lat” - za jego pracę, upór i optymizm.

Lecz nie zapominam także o tych, których już nie ma wśród nas ; chylę głowę nad grobami tych co odeszli „w tę krainę, gdzie cisza i błogość”. Wiem, że jest ich wielu, bo jak to się w Polsce mówi : - „już biorą z naszej półki” !

Ale dość wzruszeń ! - Pamiętajcie jednak, że naszym spotkaniom zawsze towarzyszył śpiew : piosenka harcerska, partyzancka, kabaretowa, czy jeszcze inna. Ona była z nami zawsze i wszędzie . I w moich wspomnieniach pozostała nadal.

I jeszcze jedna, już ostatnia dygresja, która dotyczy nas – seniorów. Pamiętajcie chyba mnie, gdzieś w zimowy wieczór, na drodze z Dusznik do Zieleńca – dźwigającego oprócz niezbędnego narciarskiego rynsztunku – prawie 20-to kilogramowy magnetofon „Melodia”. Bo wtedy moją pasją było organizowanie naszych radosnych spotkań – ot, choćby „Andrzejek” w Zieleńcu, czy w Jarkowicach. Jako zapalony radiotechnik - amator konstruowałem wzmacniacze ”hi-fi”, by lepszy wprowadzić nastrój wieczoru . Wtedy z głośników płynęły melodie z festiwalów w San Remo, Eurowizji, Sopotu czy Opola; był i Kabaret Starszych Panów, Piwnica pod Baranami

i „Listy śpiewające” Agnieszki Osieckiej.

I dziś jakby moją kwintesencją tamtych czasów, spośród wielu, utkwiły mi w pamięci fragmenty dwóch piosenek : pierwsza jest z „Kabaretu Starszych Panów” :

No, bo jak tu nie jechać
Kiedy tak nowy szlak nas urzeka;
Kiedy dal oczy wabi
Chociaż żal tego co za nami!
Nie ma nic bez ryzyka –
Tylko widz, tylko widz go unika;
A kto chce być wewnątrz zdarzeń
Musi żyć, żyć z bagażem
Musi mieć walizeczkę i koc
I latarenkę na noc !

Bo przecież dal, która wabi – to po prostu turystyka, poznawanie nowych przestrzeni, a bagaż, walizeczka, koc i latarenka – to nic innego jak prosta, urzekająca poetycka metafora ! A może, kto wie – zwyczajna piosenka o losach i doli niejednego emigranta .

A teraz fragment drugiej z „Piwnicy pod Baranami” :

Ta nasza młodość
Ten szczęśny czas
Ta para skrzydeł
Zwiniętych w nas!
Co nie ustoi w miejscu zbyt długo
Ona, co pierwszą jest, potem drugą . . .
Ta nasza młodość z kości i krwi
Ta nasza młodość co z czasu kpi! . . .

Słowa tej drugiej piosenki, pełnej filozoficznych refleksji dedykuję właśnie nam, starym działaczom naszego Oddziału !

Jeżeli do tamtych chwil wracam z takim uporem, to przecież tylko dlatego, że były one latami marzeń i wzlotów naszej młodości. Właśnie tam - w Zieleńcu, Jarkowicach, czy innych turystycznych szlakach zawiązywały się przyjaźnie, romanse ale także wierne i trwałe miłości ! „Nic co ludzkie nie jest mi obce”. Mimo ponurej

„czerwonej nocy” dziś wydaje mi się, że byliśmy wtedy inni, lepsi i szlachetniejsi .

Leopold Staff w swojej przepięknej poezji pisze o tęsknocie za skrawkiem nieba. A czyż ten nasz petetekowski skrawek błękitu, to nie była wtedy nasza Polska ?

Z ogromną tęsknotą emigranta, dziś starzejącego się człowieka, patrzę wstecz, na to co daleko już za nami i widzę coraz **mocniej, coraz wyraźniej, że te nasze dawne, PETETEKOWSKIE lata pozostały głęboko w moim sercu !**

Myślę też, że te moje spontaniczne, wrywkowe dywagacje i spostrzeżenia powinny - moim zdaniem - stać się jakimś spoiwem łączącym nasz ubiegły trud z tym nowym, który teraz rodzi się w Polsce.

Kończąc, i korzystając z tak serdecznego przyjęcia tutaj, we Wrocławiu, Mieście mojej młodości „Górnej i Chmurnej” - pozwólcie mi z głębi serca pozdrowić i uściskać Was wszystkich !

Stefan Rowiński

Moje więzi z Jubilatem -

- Oddziałem PTTK przy Instytutach PAN

we Wrocławiu

Po specjalistycznych studiach mikrobiologii w Lublinie, wróciłem w 1956 roku do ukochanego Wrocławia. 1 kwietnia zostałem przyjęty do pracy w Instytucie Immunologii i

Terapii Doświadczalnej PAN im. Ludwika Hirszfelda. Zafascynowany ciekawą pracą naukową nie przypuszczałem, że możliwa jest równoległa relaksowa ścieżka – turystyka, ścieżka, którą pokochałem na całe życie. Wprowadziło mnie na nią grono przyjaciół, którym przewodził pionierki organizator turystyki dolnośląskiej Zygmunt Wojciechowski – znany wokoło jako Zyzik, sławny Zyzik. Już po trzech miesiącach pracy w Instytucie zapisałem się do PTTK. Zaczęły się wycieczki, rajdy w Sudety, rajdy szlakiem historii kultury materialnej. Masyw Ślęży, G. Wałbrzyskie, Rudawy Janowickie, Karkonosze, G. Stołowe, G. Bialskie i dalej Tatry – Tatry Polskie, Tatry Słowackie – obozy w Tatrzańskiej Polance, w Smokowcu, kurs taternicki pod instruktorskim okiem Jakubowskiego, Bidermana i Panfila.

Zieleniec odkryty przez Basię, Leszka i pośrednio Zygmunta. Dom pana Wrony, dom starego p. Wrony. Stąd nazwa schroniska „Wrona” albo „Zyziówka”. „Orlica” to nazwa późniejsza. Schronisko powstałe z pracy naszych rąk, społecznie, z niedzielnej pracy. Wolnych sobót wówczas jeszcze nie było. Jeździło się pociągiem, nie autokarem. Nie oglądano się na dotacje z gminy, czy z fundacji zagranicznych. Nie było tyle urzędniczych barier w postaci kłopotliwych przepisów prawnych, nie było przymusu do przetargów.

Zieleniec – objuczeni plecakami i nartami szliśmy 9 km z Dusznik stromym skrótem, który nazywaliśmy „Golgotą”. Były wspólne kanapki, śpiewy, czasem tańce.

Potem Jarkowice u zbiegu Złotnej i Srebrnika – stacja turystyczna „Srebrny Potok”. Pamiętam początki. Spanie na dmuchanych materacach wokół żelaznego piecyka typu „koza”. Teraz tam jest luksus. Zawsze wycieczki na Łysocinę – najwyższy szczyt Lasockiego grzbietu, na Przełęcz Kowarską, Rozdroże Kowarskie, na Mszę Świętą do Miskowic albo przez las do Opawy przy czeskiej granicy.

Niezmordowany Zyzik – prezes najpierw Koła, potem Oddziału PTTK przy Instytutach PAN we Wrocławiu, organizując Kurs Przewodnicki, przekonał mnie, że moje doświadczenia trampa kwalifikują mnie do wstąpienia na tenże Kurs. Tak zdobyłem moje pierwsze szlify przewodnickie.

Choć bez stuły Zygmunt związał
Bez lat kilku przed pół wiekiem
To nie blednąc, nie płowiejąc
Trwa mój mariaż z PTTK-kiem

Wrocław, dnia 30 marca 2002 r.

Stefan Rowiński

Belusske Slatiny - Sylwester PTTK PAN w Słowacji

Relaks dla ciała, radość dla duszy
Zygmunt wyrusza w stronę Belusy
A z nim kompania jakości przedniej
By chłonąć „fresh air” w nocy i we dnie

A w tej Belusy, ściślej w Slatinach
Jeden wyciągiem w górę się wspina
By nartą gładzić Mojtina stoki
Inni na butkach oddech głęboki
Czynią, w spacerach znajdując rozkosz
Kuchnia dla brzuszka z największą troską
To knedlik z mięskiem, z gulaszem ryżyk
W mig za polewką w kurs bieży chyży
Chleb z pomazanką, czaj cytrynowy
A na parterze kącik szałowy
Sauna i Whirpool, gdzie lecą bąble
Kto raz spróbuje, to chciałby ciągle
Grzeje się ciałko, pięknieje derma
Obsługa miła w Hotelu „Thermal”
A gdy Sylwester zawitał w progi
Ekstra kreacje, wirują nogi
Orkiestra z pieśnią radują ucho
A o godzinie właściwej duchom
Zygmunt Rok Nowy nam zapowiada
Szampan, całusy, życzeń gromada
Toasty słane znakom Zodiaku
Zdjęcia pod palmą i przy jej braku
Dowcipy świetne i krotochwilne
A z zewnątrz petard odgłosy silne
Menu wyborne smakiem zachwyca
Pieczeń z grzybkami i kapustnica
I tak nadchodzi 3 – cia godzina
Czas kończyć ucztę - Sylwestra finał
W niedzielę śnieżek ściele się wokół
Żegnaj Słowacjo ! Dosiego Roku !

Strow

Belusske Slatiny, 26. 12. 1996 - 01. 01. 1997 r.

Aleksander Brudnik

Migawki wspomnień o PTTK

Jest rok 1953. Są wakacje. Chcę gdzieś wyjechać, zabawić się, ale nie mam żadnego pomysłu. Z pomocą przychodzą mi koleżanki Izabela i Zdzicha. Od nich dowiaduję się, że koło PTTK przy PAN organizuje wycieczki w góry i mogę się do nich przyłączyć.

Miałem pewne wątpliwości, czy ja student drugiego roku WSR i pracownik techniczny W Polskim Radiu zostanę przyjęty do tak elitarnego koła. Wątpliwości moje zostały szybko rozwiane po spotkaniu z Prezesem Koła panem Zygmuntem Wojciechowskim. Podczas koleżeńskiej rozmowy z Prezesem dowiedziałem się, że w Jego kole nie pyta się kandydata na turystę o przynależność partyjną, o wykształcenie, o wiek, o pochodzenie społeczne. Ważne było by zachować się godnie, poprawnie, chcieć brać udział w życiu sportowo-rekreacyjnym koła. Nie palić tytoniu, nie spożywać alkoholu. Ten sposób bycia bardzo odpowiadał moim ideałom, chętnie więc na to przystałem i zostałem zaakceptowany przez Prezesa i kolegów z koła. Bardzo ważne dla mnie było podejście Prezesa do młodego wiekiem człowieka. Powiedział On, w naszym kole wszyscy są sobie równi, wszyscy zwracamy się do siebie po imieniu czyli na Ty. Bardzo trudno było mi się do tego przyzwyczaić. Z domu wyniosłem wrażliwość i szacunek dla osób starszych. Wszyscy których poznałem byli już utytułowani a ja zaledwie student. Lody szybko zostały przełamane, poczułem się w kole bardzo dobrze. Towarzystwo było bardzo fajne, wesołe.

Pomimo trudnych warunków finansowych zawsze znalazło się parę złotych na cosobotnio-niedzielne wypady w góry lub nad jeziora, bo i takie imprezy jak spływy odbywały się. A kiedy objęliśmy w posiadanie Zieleniec i inne Bacówki, to za własne pieniądze kupowało się farby, pędzle i własnymi rękami odnawiało się schroniska. Dzisiaj młodzieży trudno zrozumieć, że był czas kiedy wiele robiło się dla idei, bez zapłaty. Przy tak zgranym zespole koleżanek i kolegów dokonywaliśmy cudów. Wierzyliśmy, że robimy to dla siebie, bo faktycznie tak było. Każda wykonana praca na rzecz koła, była wykonywana z entuzjazmem i młodzieńczą werwą. Była to jedna z form rekreacji. Organizowaliśmy obozowiska górskie i wypady do Czechosłowacji w Tatry Wysokie to jest „Pod lesom” koło Starego Smokowca. Każdorazowo pokonywaliśmy szlaki górskie zdobywając normy na „Górską Odznakę Turystyczną”. Mieliśmy wspaniałych przewodników górskich w osobach: Stanisław Gdula, Mieczysław Gałyga, Zdzisława Wojtyto i wielu innych, wspaniałych kolegów jak Wiesio Tichy vel Frolo, Zofia Sobolewska taterniczka, Hanna Kubacka. Pamiętam również, że pod okiem Wiesia i Zosi uczyliśmy się wspinać po skałkach w Sokolich Górach a potem na południowej ścianie Mnicha w Tatrach. Były to nie zapomniane chwile, wywołujące dreszczyk emocji.

Biorąc pod uwagę mój wiek i okrągłą rocznicę (pół wieku) istnienia Oddziału, siłą rzeczy są to wspomnienia bardzo wybiórcze, bez dat a niekiedy i bez miejscowości, gdzie byliśmy i jakie szlaki i trasy pokonywaliśmy. Jedno jest pewne, że te najpiękniejsze

50 lat przeżyliśmy z PTTK-iem PAN i jego prezesem Zygmuntem Wojciechowskim w atmosferze radości i miłości do siebie. Powstawały mniejsze grupy i podgrupy w których zawiązywały się małżeństwa. Takimi parami byli lub są : Pawlakowie, Gdulowie, Gałygowie, Gołębiowscy, Szuwalscy, Brzozowscy, Fiszerowie, Grabowscy, Wojciechowscy, Brudnikowie i inni. Tak zachowana przyjaźń i koleżeńskość trwa po dzień dzisiejszy.

Minione pięćdziesięciolecie podzieliłbym na etapy.

Pierwszy to fascynacje wspólnego działania na rzecz Koła a potem Oddziału.

Drugi - integracja, czyli potrzeba sprawdzenia się we wspólnocie. Większość koleżanek i kolegów z zespołu była bardzo młoda, bez większych obowiązków rodzinnych, nie wrażliwa na niewygody – spanie w stodołach, w schroniskach na podłodze, bez wygodnych i nie zawsze czystych sanitariatów. Noszenie ciężkich plecaków, namiotów, kociołków do gotowania, paliwa turystycznego i całego ekwipunku potrzebnego turystyce, nie było przeszkodą. Oczywiście te wszystkie niewygody odbijały się często na zdrowiu lecz nie załamały w nas ducha. Ale zaczęto myśleć o wygodzie. Dlatego często organizowano teraz obozy w schroniskach i domkach campingowych. Wyprawy były droższe lecz wygodniejsze, w końcu „wydorośliśmy”. Zarabiając więcej grosza, przerwaliśmy się na turystykę zagraniczną - autokarową. Oddział zakupił własny autokar i bez przeszkód jeździliśmy po świecie, a był to rok 1988, kiedy zaczął się okres zwany „popaździernikowym”. Wyjazdy były względnie tanie ale wygodne. Jeździliśmy do Francji, Niemiec, Grecji, Hiszpanii, Portugalii, Włoch, Węgier, Bułgarii, Czechosłowacji i do wielu innych krajów. Nie obyło się bez przygód, zabawnych, a czasami bardzo przykrych. Trzy razy zostaliśmy obrabowani, w Rzymie, Portugalii i Hiszpanii. Pamiętam w Rzymie wyłamano drzwi autokaru i skradziono mi dokumenty i całą grupę. W Portugalii obrabowano z dokumentów i pieniędzy Izabelę Brudnik, a we Włoszech w Bari Alinę Schleicher. Były też przymusowe postoje z powodu awarii autokaru, byliśmy także eskortowani przez włoską policję, w mieście koło Sienny, a przez policję austriacką w Linzu, gdy nasz kierowca Adaś wjechał w jednokierunkową ulicę i nie mógł o własnych siłach z niej się wydostać. Było też tak, że nie mogliśmy wjechać do Włoch, ponieważ policja nie chciała nas wpuścić ponieważ nie mieliśmy drugiego kierowcy, a było to wymagane przez tamtejsze prawo. Ostatecznie ja, turysta, musiałem zgodzić się za drugiego kierowcę. Do radosnych zaliczyć trzeba postój w Grecji, koło Lamii. Właściciel campingu zakochał się w naszej turystce i gościł nas na swój koszt cały tydzień. Nam to się bardzo podobało.

Jako długoletni turysta, aktywista PTTK, chciałem coś robić na rzecz Oddziału. Na

jednym z zebrań sprawozdawczo – wyborczych zostałem zaproszony do Zarządu Oddziału. Pełniłem funkcję członka zarządu, potem prowadziłem sprawy odznaczeń i przez bardzo krótki okres funkcję p.o. Sekretarza Zarządu. Ponieważ mieszkam w Obornikach Śląskich moja obecność była coraz rzadsza i w końcu całkowicie wyłączyłem się z działalności w Oddziale. Ale po pewnym czasie okazało się, że schronisko „Srebrny Potok” w Jarkowicach nie ma ajenta. Budynek stał pusty, zagrażała dewastacja obiektu. Zaszła więc potrzeba pilnowania budynków. Na prośbę Prezesa podjąłem się tego zadania, na zmianę z Jurkiem Wojtowiczem i Zygmuntem Wojciechowskim. Jak za dawnych lat przez tydzień byłem turystą, który mieszkał w schronisku na własny koszt, będąc równocześnie dozorcą z ramienia naszego Oddziału PTTK PAN we Wrocławiu. Obecnie, od 2003 roku, jestem znów w Zarządzie, pełniąc funkcję Przewodniczącego Kapituły Odznaczeń oraz reportera, sprawozdawcy naszych zdarzeń, filmując, rejestrując fonograficznie spotkania przyjaciół i grup turystycznych.

24 marca 2004

P.S. w roku 2005 zginął tragicznie, cześć Jego Pamięci

Prezes Z. W.

Włodzimierz Jencylik

Wspomnienia kajakarza z okazji jubileuszu 50-lecia Oddziału PTTK PAN

1. Pierwsze zręby organizacyjne :

Początki działalności grupy kajakarzy, a był to rok 1952, są związane z klubem sportowym „Sparta” Wrocław. Po rozwiązaniu klubu, nasi kajakarze pływali jako zorganizowana grupa w ramach Klubu Sportowego „Ogniwo” i PTTK PAN, a następnie współpracowali z Ogniskiem TKKF PAN. Następnym etapem działalności

naszych wodniaków – kajakarzy było samodzielne pływanie w ramach współpracy z Wrocławskim Klubem Wodniaków „Wiadrus” w latach 1958 – 1959. Od tamtej pory nasi wodniacy pływali systematycznie jako zorganizowane grupy kajakarzy na spływach w ramach Klubu Wodniaków Oddziału PTTK PAN do czasu zreorganizowania Klubu Wodniaków pod nazwą „Bielik” w 1971 r.

2. Dawna kadra wodniaków.

Zwolennicy pływania na kajakach nie ograniczali się wyłącznie do tego typu wypoczynku, uprawiali także żeglarstwo i nurkowanie. W naszych grupach pływali również wodniacy z innych kół i klubów, co było dla nas miłym wyróżnieniem. Pomimo upływu wielu lat, udało mi się zanotować kilka nazwisk z tego okresu (1952 – 1971), aby ocalić od zapomnienia ich działalność. Oto te nazwiska :

- | | | |
|----------------------------|--------------------------|-----------------------------|
| 1. Bondyr Narcyz | 11. Janik Krzysztof | 21. Piecka Kazimierz |
| 2. Cieśla Teresa | 12. Jencylik Janina | 22. Próchniewicz Tadeusz |
| 3. Gałyga Mieczysław | 13. Jencylik Włodzimierz | 23. Spławińska-Stokłosa Ada |
| 4. Garecki Jerzy | 14. Kość Zbigniew | 24. Spławiński Włodzimierz |
| 5. Goik Andrzej | 15. Lasota Józef | 25. Superat Roman |
| 6. Gołębiowski Bogdan | 16. Łączyńska Teresa | 26. Wojciechowska Ewa |
| 7. Gomulkiewicz Mieczysław | 17. Morawiecki Andrzej | 27. Wojciechowski Zygmunt |
| 8. Grozik Irena | 18. Napora Irmina | 28. Wolny Marian |
| 9. Grozik Eugeniusz | 19. Napora Stanisław | 29. Workowska Maria |
| 10. Janik Aleksandra | 20. Nawara Janina | 30. Workowski Czesław |
| | | 31. Żdzarski Zygm. Marek |

3. Reorganizacja Klubu Wodniaków „Bielik”

Pomysł reorganizacji klubu kajakowego powstał w 1971 r. Natomiast w roku 1972 w czasie spływu na Wielkich Jeziorach Mazurskich, po spotkaniu na Śniardwach orła Bielika, postanowiono przyjąć nazwę Klubu „Bielik”. Spływ rozpoczęliśmy wtedy w poniedziałek 19 lipca w Wilkasach nad jeziorem Niegocin. Pogodę mieliśmy zmienną, jak to bywa w roku Saturna. Zimny wiatr i siąpiący deszczyk na początku spływu nie zapowiadały pięknej pogody, która w dalszej części wyprawy nam towarzyszyła. W południowo wschodniej części jeziora Niegocin wpływamy na zarośnięte małe jeziora Niałki, Wojnowo, Buwełno. Wysokie trzciny przy brzegach tych wąskich

jezior idealnie chronią nas przed silnym wiatrem, który na Niegocinie tworzył białą pianę na wysokich falach. W połowie jeziora Buwełno wpływamy na wąską strugę, którą pod prąd przepychamy się na piękne jezioro Ublik. Jezioro to ma tak czystą wodę, że nadaje się ona do bezpośredniego picia. Tutaj mieliśmy pierwszy biwak. Gdy tafla jeziora jest idealnie gładka i obserwujemy z kajaka jego dno to ciarki przechodzą po plecach, gdyż mamy wrażenie, że kajak płynie „jak po szkłe”. Następnego dnia pokonujemy przewłokę, pomiędzy jeziorami Buwełno i Tyrkło, długą na 1,5 km. W pobliskim gospodarstwie wypożyczamy małe wózekki i piaszczystą ścieżką przewożymy kolejno wszystkie 15 kajaków, co zajęło nam pół dnia. Następny biwak nad jeziorem Tyrkło rozbijamy na pięknym pagórku obok, gdzie do jeziora wpływa rzeczka Orzysza. Pagórek ma kształt odwróconego garnka i porośnięty jest starym sosnowym lasem. Bliskość ujścia Orzyszy z czystą wodą, miało nam dostarczyć wody pitnej, co jak się później okazało, było tylko złudzeniem. W czasie następnych dni płyniemy pod słaby prąd Orzyszą do jeziora Orzysz. Rzeczka ma szerokość około czterech do pięciu metrów, ale jest bardzo głęboka, gdyż wiosło chowało się w całości, nim dosięgało torfowego dna. Biwak na Orzyszu w sąsiedztwie leśniczówki Rzańniki był szczególnie szczęśliwy dla jednego z naszych uczestników, który złowił tu na „blachę” metrowego szczupaka. W czasie powrotu z jeziora Orzysz, wyjaśniły się niemiłe zagadki, które spowodowały powiedzenie „źródłana woda z Orzyszy ale na wieprzowinie”. Po powrocie na nasz pagórek nad jeziorem Tyrkło czatujemy cały dzień na polepszenie pogody, ażeby przeskoczyć Sniardwy do Mikołajek. W sobotę 22 lipca od rana mamy piękną bezwietrzną pogodę, wyruszamy przez Okartowo na Śniardwy i jego północnym brzegiem płyniemy w stronę Mikołajek. W okolicy miejscowości Zdęgowo w zatoce spotykamy dwa wspaniałe orły bieliki, które siedziały na tyczkach ustalających zastawione sieci rybackie. Zanim sięgnąłem po aparat, zdążyły się poderwać, tak że na kliszy pozostały tylko jako małe punkty. Korzystając z pięknego słońca, kilkakrotnie zatrzymujemy się na kąpiel i na fotografowanie. W połowie trasy za Suchym Rogiem wdrapujemy się na wysoki punkt widokowy skąd widzimy całą panoramę jeziora w dole. Zyzio fotografuje widoki piękną lustrzanką, wobec której jest mi wstyd wyciągać moją starą Zorke. Im byliśmy bliżej Mikołajek, pogoda psuła się gwałtownie. Mijając przesmyk na jezioro Łukajno, poprosiłem załogi o nałożenie kapoków, gdyż wysoka fala i silny wiatr stwarzały spore zagrożenie. Zmoknięci i bardzo zmęczeni, szczęśliwie dopłynęliśmy do Mikołajek. Wszystko to miało miejsce w roku Saturna i w jego dzień, co ponoć zapewnia pełną pomyślność. I jak tu nie wierzyć staropolskim legendom, któ-

rych fragmenty przytaczam w księdze pamiątkowej klubu „Bielik”. Opisane powyżej spotkanie z orłami, stało się kanwą do nadania nazwy „Bielik” naszemu klubowi, z którym pływamy od dziesięcioleci do dnia dzisiejszego.

4. Spływy klubowe „Bielika”.

Opisane szczegółowo spływy rozpoczynają się w roku 1971, jako kontynuacja poprzednich, z kolejnym numerem XXXVIII. W tym też roku, mieliśmy dwie imprezy, jedna to II Okręgowy Kurs Przodowników Turystyki Kajakowej PTTK ze spływem w Brodnicy oraz prywatny Spływ rzeką Wel. Część naszej kadry kajakarzy, zdobyła wtedy uprawnienia Przodownika Turystyki Kajakowej PTTK. Od tegoż roku wszystkie spływy organizowane przez Klub „Bielik”, zostały opisane w księdze pamiątkowej, obejmującej lata 1971 - 1995. W czasie pływania z naszym klubem, wykształciła się młoda kadra kajakarzy, dla której zorganizowaliśmy Kurs Przodownika Turystyki Kajakowej PTTK. Po otrzymaniu stosownej zgody Zarządu Głównego PTTK, kurs odbył się z klubowym spływem LXI w 1994 roku, nad jeziorem Witocznem na Kaszubach. Następny spływ w 1995 r. został już zorganizowany przy współudziale naszej młodej kadry Przodowników. Zebrane uwagi naszych kajakarzy z kursu oraz jego kadry, wysłaliśmy poprzez Oddział PTTK PAN do Komisji Turystyki Kajakowej w Warszawie. Nasze uwagi zostały uwzględnione np. poprzez obniżenie wieku kandydatów na Przodowników do lat 18.

Na tych kilku wspomnieniach kończę swoje wybrane zapiski z okresu 50 – ciu lat, mając nadzieję, że wzbogacą one historię wszystkich klubów działających w naszym Oddziale.

Włodzimierz Jencylik

Rajd - BIESZCZADY - 1955

Zygmunt Wojciechowski

Jest czerwiec, pobudzeni do wędrówek poprzednimi górskimi wycieczkami, zwłaszcza po rajdach w Karkonosze, postanowiliśmy z Tadeuszem Michalskim, skorzystać z oferty Oddziału PTTK w Rzeszowie, który organizował wraz z grupą bieszczadzką WOP, II-gi Ogólnopolski Rajd w Bieszczadach. Słyszeliśmy i czytaliśmy różne nieprzyjemne informacje o pacyfikacji tych terenów, lecz chęć zobaczenia tego na własne oczy, wzmogła naszą ciekawość. Rozpoczęliśmy zbierać chętnych do tej wyprawy, tworzyć grup odpowiadające

sobie towarzysko, i przygotowanych na trudy tej eskapady. Wiedzieliśmy, że w terenie nie ma transportu, zaopatrzenia w żywność ani noclegów, nawet w stodołach, których po prostu już nie było po deportacji miejscowej ludności z tego obszaru, a byli to przeważnie Łemkowie - nie Ukraińcy.

Po ustaleniu trzech 6-cio osobowych grup, a to: I-sza prowadzona przez wspomnianego Tadeusza z uczestnikami - Basia Klubińska, Pola Matusiewicz, Ela Cepowska, Jan Wawer i Zygmunt Wojciechowski, II-ga dowodzona przez Danusią Schlesinger + (Klukowska i Klukowski Waclaw, innych nazwisk nie pamiętam) i III-cia, której szefem był Zygmunt Sagan, Lucyna Karasiewicz i inni. Pieczę nad całością sprawował Zyzio - razem 18 osób z Instytutu Immunologii.

Na tę wyprawę trzeba było wziąć ze sobą wszystko, od namiotu, który składał się z czterech trójkątnych wojskowych płacht, ceratki na „podłogę” by nie spać na gołej ziemi, żywienie na 8 dni. Z doświadczenia wiedzieliśmy co przygotować i jaki osprzęt biwakowy zabrać jak : kochery, denaturat, składane turystyczne sztucce aluminiowe, i koniecznie toporek służący do wielu czynności, nawet do kopania w ziemi, ponieważ saperka za dużo ważyła. Bagaż był odpowiednio rozdzielony – panie po 18 kg , panowie 45 kg - a ciężar do noszenia przez całą załogę wynosił 189 kg. Całe szczęście prowiantu ubywało każdego dnia, dzięki dobremu apetytowi uczestników.

Będąc w pełnym pogotowiu do drogi, dostaliśmy błogosławieństwo dyrekcji Instytutu, do tego delegacje do rozliczenia się z czasu a nie z pieniędzy. Bilety na pociąg kupowaliśmy za własne pieniądze a diet również nie pobieraliśmy.

Trasa kolejowa biegła z Wrocławia do Jaworzyny, skąd już bezpośrednio pociąg dowiózł nas wzdłuż pogórza sudeckiego, następnie karpackiego do Zagórza, gdzie nastąpiła przesiadka do stacji przeznaczenia, tj. do Ustrzyk Dolnych.

Na tej krótkiej trasie z Zagórza, straciliśmy jedną z czterech płacht namiotowych, którą niefortunny uczestnik wyprawy zakrywał niedomknięte okno i wiatr ją porwał. Co było z tym fantem robić - trzeba było stratę przeboleć. Okazało się później w praktyce, że nie było tak wielkiej tragedii, jakoś sobie poradziliśmy.

W Ustrzykach musieliśmy czekać na transport, którym okazały się małe wozy ciężarowe ze skrzyniami, a w nich ławki – nazywano je „stonkami”. Po zgłoszeniu naszych drużyn u organizatorów i załadowaniu się z bagażem, ruszyliśmy w kierunku Czarnej i Lutowisk. Minąwszy ostatnie zabudowania Ustrzyk Dolnych, (niektóre nie zamieszkałe), oczom naszym ukazała się droga, a nie szosa, pełna wykrotów i dołów, wypełnionych błotem. Trudno było wytrzymać jadąc non-stop, więc prosiliśmy o postoje, na co chętnie

zgadzali się kierowcy, mogąc zapalić przysłowiowego papierosa. Odpoczyneków było sporo, trasa wiodła przez piękny, o soczystej zieleni las, na liściach lśniła poranna rosa, orzeźwiająca nas w promieniach słońca, które przebijały się przez konary przydrożnych drzew. Tego samego dnia dotarliśmy do Lutowisk, gdzie stało kilka pustych, zdewastowanych chałup i cerkiewka mająca z oddali. Po rozłożeniu się obozem, rozpakowaliśmy część gospodarczą, jak kochery czy czajnik, który był w zestawie. 6 osób sprawnych i wprawionych we wspólnym działaniu, w kilkanaście minut przygotowaliśmy posiłek. Po skonsumowaniu go z apetytem, rozpoczęliśmy rozglądać się dookoła, podziwiając z daleka rysujące się na południu pasma : Halicza i Krzemienia. Staliśmy zauroczeni w promieniach zachodzącego słońca.

Gdy złożyliśmy pałatki w namiot (trzy trójkąty), trzeba było wyciąć maszt na podtrzymanie całego ciężaru, (pałatki były z grubego wojskowego brezentu, w dodatku impregnowane), i zabezpieczyć wejście po brakującej płachcie. Doskonałą zasłoną okazał się przeciwdeszczowy płaszcz, kupiony w Czechosłowacji w czasie pobytu w Tatrach, służył nam do końca eskapady. Tak samo wycięty w lesie maszt, noszony z nieodzownym sprzętem. Pod ceratkę kładliśmy ścinane końcówki gałęzi z sosen, tak że spanie było wyśmienite i pachnące zarazem, dając nam dobre samopoczucie i siłę na dalszą, bardzo długą drogę do Zworu - Widełek. Dookoła słychać było turystyczne piosenki śpiewane przez współ rajdowców, które nas uspiły definitywnie.

Rano pobudziliśmy się dosyć wcześnie, a to z powodu nocnego chłodu, który dawał się nam we znaki każdej nocy, bo koce powojenne nie były pierwszego gatunku, tak jak dzisiaj, gdzie można sobie wybierać, nawet z sierści wielbłąda. Pierwsze czynności to było zdobycie wody na przygotowanie herbaty (z tym nie było problemu, źródeł z czystą wodą było na całej trasie w bród). Po małej gimnastyce, którą uprawialiśmy rano i wieczorem, dla utrzymania kondycji, oraz rozgrzaniu „trzewi” gorącą herbatą, przystąpiliśmy do zasadniczego posiłku, tj. śniadania. To był rytuał nabożny, pilnowaliśmy każdego kęsa by nie uronić, i by to co przygotowane, było do końca skonsumowane. Tak byliśmy nauczeni – „rozzutność” nie popłaca. Sprzątanie przy zwijaniu obozu było obowiązkiem, żaden papierek nie śmiał pozostać, a podściółka od spania była składana tam, skąd ją pobieraliśmy, to znaczy pod tym samym drzewem. Pakowanie plecaków nie sprawiało trudności, przecież kiedyś byliśmy harcerzami, i zwijanie koców nie było nam obce. Około godziny ósmej, byliśmy gotowi do wymarszu w dalszą drogę. Pogoda dopisywała, ruszyliśmy przed siebie, każda grupa inną trasą, w tym przypadku będzie opis zmagania pierwszej grupy tj. Tadeusza – Chałwy – Osy – Michalskiego.

Wchodziliśmy w teren coraz bardziej dziki, nie zamieszkały, chyba przez zwierzynę dziką. Można było spotkać i wilka, nawet w rejonie Otrytu niedźwiedzia. Szlaków turystycznych nie było i trzeba było chodzić na tzw. „azygmunt” jak wielu mawiało, czyli na „nos”. Idąc drogą „szutrową”, na południe, (w tym rejonie asfaltu jeszcze nie było) zobaczyliśmy po prawej stronie dwa pasma górskie. Jedno, to pasmo Ostrego, drugie to Otryt, już wcześniej wspomniane, przegrodzone doliną potoku Głuchy, z dziesiątkami dopływów z różnych źródeł, wpadającego najpierw do Czarnego potoku a ten dopiero do Sanu. Widać było to jak na dłoni, ponieważ szliśmy wypiętrzoną drogą, natomiast po lewej stronie mogliśmy oglądać bagniste tereny Mszanki. Gdy dotarliśmy do resztek zabudowań, postanowiliśmy zorganizować chwilowy biwak na tzw. „lunch”, czyli herbatkę z przepysznej, czystutkiej źródlanej wody. Miało to być nad potokiem Smolnik, który trzeba było z powodu braku mostów, przechodzić w bród 5 razy, by w końcu zatrzymać się nad innym strumykiem, pod nazwą Łazy, nie daleko Smolnika – prawdopodobnie wioski. Było przedpołudnie, a bagaż jednak dawał się we znaki, także upał, więc zdecydowaliśmy się na chwilowy w tym miejscu postój. Nie było mgły i widok roztaczał się wspaniały na rozszerzającą się dolinę i otaczające dookoła zalesione wzgórza. Niestety krajobraz specyły rozrzucone, całkiem zniszczone domostwa, po eksmitowaniu mieszkańców tego osiedla. Tragedia dotyczyła wielu nacji, tj. Polaków, Łemków, Bojków, Żydów jak i Ukraińców, którzy żyli na tych terenach w zgodzie od wielu pokoleń, zanim przyszli tu „okupanci”, tzw. faszyci i nacjonaści. Należało by wyjaśnić, kto to są Łemkowie i Bojkowie. Otóż pierwsi i drudzy wywodzą się z okresu wędrówek ludów, gdy z Bałkanów ruszyli się Wołosi i inne obok zamieszkujące plemiona, (lud ten istnieje w Grecji do dzisiaj, przy granicy z Albanią). Lud pasterski, opisywany w naszej historii, który w następnej wędrówce z Bałkanów przygarniał Ilirów, Traków, Daków, Madziarów i innych koczowników, tworząc nowy zlepek, nową nację, wytwarzając nowy język, dziwnie podobny do słowiańskiego. Do tego doszła religia i nacje, jak polska, rosyjska czy ukraińska. Dwutorowość powstała właśnie na tle religii, a to: Łemkowie wyznają greko-katolicyzm, natomiast Bojkowie prawosławie. Nie jestem historykiem, i nie mam zamiaru udowadniać kto kim jest, ale mieszanie nacji z religią nie jest w moim stylu. Nie stawiam sprawy, tak jak słychać potocznie: prawosławny to Rosjanin, greko-katolik – Ukrainiec, ewangelik to Niemiec, muzułmanin – Arab, a katolik to Polak. Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, ponieważ to nie prawda. Wracamy więc do tematu naszej wędrówki po Bieszczadach.

Po krótkim odpoczynku, ruszyliśmy dalej. San meandrował, co stanowiło utrudnienie w orientacji, zwłaszcza w lesie, tak że nie zauważyliśmy, że już jesteśmy na terenie ZSSR. A to mogło nam się przytrafić tylko z powodu : po pierwsze braku dokładnej mapy tych terenów, zresztą nie do pomyślenia było w tym czasie posiadanie nawet szkiców, kiedy wszystko było ściśle tajne; po drugie brak kompasu; po trzecie brak dokładnej informacji o trasie, podanej przez organizatorów - ludzie puszczeni na „żywioł”. Po przejściu pod Kiczerkę (671 mnpm), skręciliśmy w lewo już w Smolniku, przekraczając trzy strumyki na mokradłach, dotarliśmy do Sanu. Idąc w górę rzeki jeszcze po polskiej stronie, nagle ktoś z uczestników zwraca nam uwagę, że pewnie jesteśmy za granicą, ponieważ stoją słupki. Jak wybrnąć z tej sytuacji, wracać tą samą drogą do Smolnika ?, nie sposób, za daleko !. Jedyna decyzja, to przejście rzeki w miejscu, jak nam się zdawało, szerszym przed „Zakolem”, ale bardziej płytkim. Gdy rozpoczęliśmy wycofywanie się z niefortunnej dla nas drogi, natrafiliśmy na przeszkodę w rzece w postaci oślizgłych kamieni (dobrze, że mieliśmy trampki). Na dobitkę ciążył nam bagaż, a na koniec trzeba było pomóc niektórym paniom, nie przyzwyczajonym do takich eskapad. Dzięki polskiemu patrolowi WOP, który pewnie przewidział naszą pomyłkę, (dwóch żołnierzy na koniach) wyprowadzono nas na ścieżkę w kierunku Stuposian, wioski całkowicie pustej. Po domach ani śladu, domyślać się tylko można było, że w zarośniętych sadach i piwnicach kiedyś było życie i gospodarka. Mówiąc „opiekunom” do zobaczenia, pouczeni o przepisach nadgranicznych, ruszyliśmy drogą, przekraczając tym razem nie zniszczonym mostkiem, Wołosaty w lewo, a pod Czereśnią (813 mnpm) w prawo, przechodząc na ścieżkę prowadzącą wierzchowiną (890 m, 829 m) do Widełek (1016 mnpm). Po zejściu do strumyka Zwór, założyliśmy biwak na zboczu z pięknym widokiem na otaczające nas szczyty bieszczadzskich wzgórz.

Kolacja bardzo smakowała po tak ciężkiej trasie, nie mówiąc już o przygodach. Oglądaliśmy jeszcze cudowny zachód słońca, kryjący się za wzgórzami Połonin, aż tu nagle od strony Bukowego Berda i Halicza nadciągnęła mgła, a gdy ułożyliśmy się do spania, zaczęło lekko kropić. Na dobitkę odwiedzili nas znajomi WOP - iści, lecz po „dzień dobry i dobranoc” odjechali w siną dal. Spało nam się smacznie przy dźwiękach spadających kropel na nasz prymitywny dom. Ażeby to zrozumieć, trzeba być traperami, jakimi byliśmy wówczas my. Rano, przez mgłę próbowało przebić się słońce. Po zejściu sznurkiem do potoku, by dokonać porannej toalety, trzeba było zachować kulturalną kolejność, panie pierwsze, a panowie za

pozwoleniem. Przy powrocie należało nabrać czystej wody ze źródła dla przygotowania posiłku. Nie spieszyliśmy się zbyt, ponieważ do celu, czyli Ustrzyk Górnych nie było tak daleko. Po wykonaniu wszystkich czynności przy likwidacji obozowiska, zeszliśmy na drogę w Berezkach, również przez nikogo nie zamieszkałych – żadnego domu, tylko w domyśle, zarośnięte piwnice trawą. Pogoda poprawiła się, wyszło słońce, tak że dochodząc do celu, zobaczyliśmy szeroką dolinę, też nie zamieszkałą, chociaż przed rozruchami było tu ludno i gwarno. Na małym wzniesieniu stał jeden murowany dom, należał do Straży Granicznej WOP. Nasz namiot postawiliśmy obok; inni uczestnicy rajdu, którzy zjawiali się schodząc z różnych stron gór, zaludniali teren, stawiając swoje „wigwamy” mieszkalne, gdzie popadło. Nikt nikomu w parady nie wchodził, nie zwracał uwagi na innych, chociaż pogranicznicy obserwowali przybyłych, mając baczne oko na wszystko co się dookoła działo. Kiedy zbliżał się wieczór, zaroilo się od piechurów górskich, przygotowujących sobie wieczerze. A gdy zapadł zmrok, ukazał się niezapomniany widok. Dookoła pełno ognisk i wszędzie rozbrzmiewały śpiewy, które były roznoszone przez echo po otaczających nas górach - celu jutrzejszych wędrówek. Trzeba było jednak rozsądnie podjąć decyzję pójścia spać, przed tak ciężką trasą, już w wyższe pasmo gór. Decyzja zgodnie została zatwierdzona, ułożyliśmy się jak śledzie do snu, a coraz cichsze głosy i nucenie miłych dla ucha turystycznych melodii, wprowadziły nas na łono Morfeusza.

Obudziliśmy się dość wcześnie orzeźwieni poranną mgłą i rosą, dookoła kręcili się ludzie przygotowujący ekwipunek do wymarszu na trasy. Po śniadaniu, bez bagażu z nieodzownym sprzętem, jak płaszcze od deszczu i inne przybory koniecznego użytku, ruszyliśmy przy dobrej pogodzie w nieznaną. Pokonaliśmy dwa wzgórza, góra, dół i góra (1068 m) przez wykroty na przełaj w gęstym lesie, a że zawsze szczęście nam dopisywało wyszliśmy na Szeroki Wierch (1268 m) bez przeszkód. Dalej wierzchowiną pod Tarnicę, na którą trzeba było się wspiąć (1346 m), skąd mogliśmy oglądać Krzemień (1335 m), oraz Halicz (1333 m), obraz księżycowy nie do opisania. Schodząc na dół zauważyliśmy psującą się pogodę, ze wschodu nadciągnęły chmury, zrobiło się nagle przenikliwie zimno i zaczął padać śnieg. Rozsypaniec (1273 m), Halicz i Krzemień w powrotnej drodze zaliczyliśmy już we mgle, która niżej przerodziła się w mżawkę. Z pod Tarnicy zeszliśmy w kierunku Hudów Wierszek (973 m) i nie istniejącej wówczas miejscowości Wołosate, którą taki sam los spotkał jak inne. Tu byliśmy już zziębnięci potwornie (nie prze-

moknięci – mieliśmy przecież czechosłowackie płaszcze), nie pomagało nawet podnoszenie rąk stosowane niejednokrotnie przy innych męczących imprezach. Dalszą drogę pokonywaliśmy wzdłuż potoku Wołosatka, brnąc po kostki w okropnym błocie, aż doszliśmy do Ustrzyk Górnych. Na miejscu przekonaliśmy się, że nasz namiot był przeszukiwany, niby nic nie zginęło, lecz gdy okazało się, że jest potrzebny toporek, dopiero zauważyliśmy jego brak. Kto to mógł zrobić takie świństwo, przecież bez siekiery turysta w tak dzikim terenie jest jak bez ręki. Niestety trzeba było sobie i z tym poradzić, a do mety była dopiero połowa trasy. Deszcz padał przez dwa dni, dopiero trzeciego dnia wiatr przegonił chmury i wyjrzało słońce, które pozwoliło nam pozbyć się wilgoci. Na nieszczęście Ela Cepowska została tak pokąsana przez meszki, że spuchła jej jedna noga i z chodzeniem byłby problem, gdyby nie apteczka dobrze zaopatrzona. Na noc wysmarowaliśmy kończynę maścią, nazwy dzisiaj nie pamiętam, lecz rano przyjęliśmy wiadomość z ulgą, że temperatura ciała opadła, a obrzęk zniknął. Obfite śniadanie poprawiło nam humory i spokojnie mogliśmy przygotować się do wymarszu na Połoniny, które oglądaliśmy z daleka myśląc, kiedy nareszcie na nich będziemy.

Ruszyliśmy przeprawiając się przez potok Wołosaty, w miejscu najszerszym, ale nie głębokim, pomagając sobie nawzajem. Na drugim brzegu wylaliśmy z trampek wodę, i zaczęliśmy pokonywać stromiznę zakosami, aż osiągnęliśmy próg Połoniny Caryńskiej na wysokości (1107 m), była to przełęcz. Teraz poczuliśmy się bohaterami będąc na wymarzonej przez turystów grzebień. Szliśmy jak nam się zdawało, po „brzytwie”, z każdej strony opadających stromych stokach. Oglądaliśmy bunkry pobudowane pod szczytami połonin przez UPA, tak jakby je wczoraj opuszczono. Zatrzymywaliśmy się, by podziwiać panoramy okolicznych pasm górskich, na przykład Otryt, na wschodzie wypiętrzony, dumny, jak gdyby był wyspą na oceanie zieleni. Przed nami Połonina Wetlińska z widokiem na Smerek, a lekko w lewo zejście do Berechów, gdzie zamierzaliśmy zanoć. Słońce było jeszcze dość wysoko, przez grzbiet przeszliśmy bez wysiłku, a zejście nie sprawiało nam żadnej trudności. W Berechach było tłocznie, więc postanowiliśmy iść dalej, by być bliżej mety. Rozejrzeliśmy się za dobrym podejściem na Połoninę Wetlińską, ścieżka była, ale stroma i mocno zalesiona. Cóż, trzeba było zdecydować się na nią. Wchodzimy najpierw w gęsty zagajnik i robimy kilka zdjęć w stronę Wierchu Wyżniańskiego oraz Małej i Wielkiej Rawki. Wspinając się tyralierą czepiamy się młodych drzewek, pomagając sobie w ten sposób pokonywać stromiznę. Wychodzimy

na ścieżkę koło bardzo starych grubych buków i gęsiego już spokojnie wydostajemy się na czoło Połoniny (1228 m). Gdy osiągnęliśmy kulminację (1253 m) koło Hnatowego Berda, mając go po lewej stronie, zrobiliśmy odpoczynek przy źródle. Mały posiłek ze źródlaną wodą dał nam chęć podziwiania otaczających nas szczytów, a przed nami Smerek i dalej Wysokie Berdo.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy przez Przełęcz M. Orłowicza (1075 m) wypiętrzając się dotarliśmy na Smerek (1222 m) już o zmroku. Po założeniu obozowiska i przygotowaniu miejsca na ognisko, by zrobić tzw. obiado-kolację, zauważyliśmy, że nie jesteśmy sami. Około 200 m poniżej od nas stał już postawiony jasny namiot z 6-cio osobową turystyczną drużyną. Integracji nie było, nikt nie miał zamiaru się ujawniać, powód był oczywisty, co się okazało, gdy poszliśmy spać, jak również na drugi dzień. Po posiłku zasiedliśmy koło ogniska, snując plany na przyszłość (mowa o Tatrach w sierpniu), śpiewając piosenki i słuchając anegdot szefa zespołu Tadzia „Osy”. Gdy nadszedł czas nocnego relaksu i Panie pierwsze poszły do „wigwamu”, trzeba było zgasić watrę, by nie podpalić łąki i otaczającego nas lasu. Przy tym zajęciu śpiewaliśmy lapidarną piosenkę „Fajermani”, brzmi ona mniej więcej tak :

Nie ma jak nam Fajermanam
Nowe sikawki dziś mamy
Daleko nimi sikamy
Sik sik hura, sik sik hura

i tak do całkowitego zgaszenia zarzewia – tylko parę i zapach zanosił wiatr w stronę namiotu, na co była reakcja Pań ; „świn....y”. Kiedy zadowoleni i szczęśliwi z mile spędzonego czasu i pokonaniu tak pięknej trasy, ułożyliśmy się do zasłużonego odpoczynku, dali o sobie znać sąsiedzi z jasnego szałas. Do tzw. „białego rana” było pełno śmiechu i „krzynka piwa” ?, tak że usnęliśmy dopiero nad ranem.

Pobudka z tego powodu nastąpiła z opóźnieniem, lecz trasa przedostatnia, którą mieliśmy pokonać, nie była strasznie długa. Nim przygotowaliśmy codzienny posiłek i zabraliśmy się do zwijania i sprzątania biwaku, zrobiło się dość późno, tak że sąsiedzi nas uprzedzili z wyjściem, zostawiając po sobie duży śmietnik. Postanowiliśmy to wykorzystać i dać nauczkę nie wychowanym „globtroterom”. Zebraлиśmy ich pozostałość do plecaka, w tych śmieciach znalazł się adres, jak dziś pamiętam, był to zakład w Bydgoszczy z pełnym adresem. Po zrobieniu paczki i napisaniu kilku odpowiednich uwag, wysłaliśmy to do Dyrektora firmy. Odpowiedź

nadeszła z podziękowaniem i uwagą, że takich turystów zakład nie będzie tolerować. Trasa wiodła nas przez Wysokie Berdo, a dalej ostro w dół do potoku Hulski i wzdłuż jego biegu drogą przez miejscowości Hulskie, Krywe, Tworylne, aż zatrzymaliśmy się Pod Tołstą (425 m) nad samym Sanem. Spędziliśmy tu noc, gdzie nikt już nam nie przeszkadzał, a rano rześcy i wypoczęci, udaliśmy się w drogę przez zamieszkałe osiedla : Terkę, Bukowiec do Wołkowyji nad Solinką.

Widzieliśmy zmaganie się mieszkańców stałych, jak i napływowych z uporządkowaniem swoich gospodarstw, które uległy dewastacji w czasie powojennej zawieruchy.

Gdy dotarliśmy na miejsce, zwróciliśmy uwagę na wielką liczbę turystów, których na trasie nie było widać. Przybyli- przemieszczali się, witając znajomych i zawierając nowe znajomości, my również. Nasze zespoły zeszyły z gór, cieszyliśmy się, że jesteśmy znów razem; przecież przez tyle dni przeszliśmy tyle kilometrów i nie spotkaliśmy się na trasie. Zauważyliśmy też inne grupy z innych uczelni wrocławskich, między innymi zespół kolegi Józefa Popkiewicza, późniejszego profesora i rektora Akademii Ekonomicznej. Był to kolega wesoły, dowcipny, tryskał humorem, ubrany na biało w krótkich spodenkach jak wielu obecnych na zakończeniu tego rajdu. Był on również Przodownikiem Turystyki Górskiej w Komisji naszego Oddziału, zresztą jak wielu z nas.

Chcąc znaleźć się bliżej przygotowanego podium dla oficjeli, ułożyliśmy się wygodnie na pagórku (na zdjęciu widać nas z wyciągniętymi nogami na murawie), byli tam także przyszli profesorowie. Na takim spotkaniu nikt się nie zastanawia kim będzie w przyszłości, tylko przeżywa przeszłą eskapadę jeszcze raz i cieszy się ze szczęśliwego powrotu z tak dzikiego w tym czasie terenu.

Nadszedł czas podsumowania spraw organizacyjnych. Przemawiali Przewodniczący Rad Narodowych, województwa, powiatu, gminy i gromady, oraz Dowódcy Brygady Bieszczadzkiej Wojsk Ochrony Pogranicza, chwalili dokonania dla nas nie zrozumiałe, ale niestety wówczas była to forma obowiązująca. Po oficjalnej części uroczystości odbyły się konkursy krajoznawcze i rekreacyjne, była też tradycyjna wojskowa grochówka w blaszanych miskach. Gdy rozpoczęła się rozpoznawczo – zapoznawcza część, każdy podsumowywał własne doświadczenia zdobyte na dość trudnym wtenczas terenie.

Gdy już było po wszystkim, trzeba było szykować się do odjazdu przez Sanok do pociągu do Rzeszowa. Droga była długa i uciążliwa, wieźli nas tzw. „stonkami”, o których już była mowa. Jakoś udało się swoim dostać do jednego

„wehikułu”, bo jak inaczej nazwać taki pojazd, ni to ciężarowy, ni to osobowy. Odprężeni i w ciżbie wyspani, dobrnęliśmy do dworca, gdzie oprócz turystów z opisanej imprezy, na pociąg czekało wielu innych podróżnych, wg nas cywilów. Humory dopisywały, było dosyć gwarno i gdy zaczęliśmy śpiewać piosenkę Mazowska „Hen, przeleciał ptaszek”, a trzeba przyznać, że śpiew nam zawsze wychodził, wszyscy dookoła uciszyli się, namawiając nas do kontynuowania repertuaru, który zawsze mieliśmy w zanadrzu. Dobrze, że pociąg z Przemyśla przyjechał prawie pusty, tak że wszyscy podróżni dostali się do niego, a nam udało się być w swojej gromadzie razem. W czasie jazdy wiele było wspomnień i uwag, co należałoby poprawić w organizacji naszych imprez, a plany były szerokie. I tak dobrnęliśmy do Krakowa nad ranem, gdzie pożegnałem moich przyjaciół, zostawiając im na drogę pęto kiełbasy. Do dzisiaj wypominają mi, dlaczego nie dałem tego w czasie wędrówki – po prostu zawieruszyła się w przepastnym plecaku.

Wrocław, dnia 20 kwietnia 2004 r.

Zygmunt Wojciechowski

Zieleniec odkryty przez Klub Kolarski

w osobach

Barbara Klubińska

Jerzy Stroński i inni

na wycieczce rowerowej po Kotlinie Kłodzkiej

Jest wiosna 1956 r. następuje odwilż polityczna w Kraju. Zakończyliśmy wyjazdy na narty na Śnieżnik, które zostały opisane w poprzednich opracowaniach.

Na posiedzeniach Zarządu Oddziału i Koła Nr 52, w których brali udział wyżej wymienieni, zastanawiano się nad przygotowaniem bazy noclegowej do organizowania imprez dla tak wielkiej grupy członków PTTK zrzeszonej w naszym Oddziale, bo ponad 2000 osób. Byli to górale, narciarze, kajakarze, kolarze i wielu innych, z jednostek

sportowo rekreacyjnych, jak wioślarze, siatkarze itp.

W czasie wymienionej wycieczki rowerowej, uczestnicy przejeżdżając przez górkę (800 m n p m) wioskę, Zieleniec (Grunwald), zauważyli budynek przypominający restaurację. Myśleli, że będą mogli normalnie się posilić, a tu zostali potraktowani gościnnie, ale prywatnie. W przyjacielskiej rozmowie dowiedzieli się, że „naprawdę był to kiedyś zajazd (Gasthaus), lecz w tych czasach nie ma możliwości ani remontu ani zgody władz na otwarcie”. „Poza tym teren jest zamknięty dla „obcych”, i jak się nasi rowerzyści dostali do wioski ?”- „otóż normalnie po sprawdzeniu dokumentów przez Straż Graniczną WOP”- odpowiedzieli. Mieliśmy doświadczenie ze Śnieżnikiem, więc już nas nic nie dziwiło.

W trakcie rozmowy, nasi cykliści snuli opowieści, na temat przyszłości tych terenów, a co do obiektu, to „grupa wyremontuje budynek, gospodarz będzie kierownikiem schroniska, grunt byśmy mogli tu przyjeżdżać”. Pan Wrona, ponieważ takie miał nazwisko, z niedowierzaniem a może i przerażeniem, wysłuchał tych wywodów i z przekonaniem, o opowieściach dla niego nie do przyjęcia, pozostał wątpiąc w to wszystko.

Po powrocie przyjaciele opowiedzieli zarządowi (20 osobowemu) o swojej przygodzie, który potraktował to zdarzenie poważnie i po naradzie, postanowiono te „nie realne plany” wprowadzić w czyn. Na pierwszy wyjazd przygotowano farby, środki czystości, sprzęt potrzebny do sprzątania oraz koce z prześcieradłami, ponieważ takich tam nie było, a także trzeba było dla takiej grupy załatwić pozwolenie na pobyt w strefie nadgranicznej. Mieliśmy opinię nieszkodliwych „mianiaków” dlatego też nie mieliśmy z tym kłopotów, mając za orędownika dyrektora WKKFiT Aleksandra Rolskiego. Dostaliśmy zgodę na takie przedsięwzięcie od kolegów Zbigniewa Kukiza i Władysława Igielskiego, członków ówczesnego Zarządu Okręgu Wrocławskiego i rozpoczęliśmy zbierać chętnych na tę wyprawę. Zgłosiło się tak wiele osób, że na pierwszy wypad pojechało około 20 osób - byli nimi Janina Ruczkowska, Basia Klubińska, Marynika Złotorzycka, Janina Nawara, Mieczysław Gałyga, Tadeusz Pruchniewicz, Tadeusz Michalski, Tadeusz Fischer, Stanisław Słowik, Stefan Rowiński, Zbigniew Krukowski, piszący tę epopeję i inni, których wymienię w innej przygodzie. Trzeba zaznaczyć, że nie było żadnych delegacji, podróż opłacaliśmy z własnych oszczędności, jak również żywienie.

Jakie było zdumienie Pana Wrony, gdy zobaczył taką gromadę ludzi, która przyjechała z własnym spaniem i prowiantem. Po umyciu podłóg w pokojach na

pierwszym piętrze i rozłożeniu koców do spania, przystąpiliśmy do zbiorowej kolacji z wyłożonych prowiantów, co kto miał. Ale rano po śniadaniu, kiedy zabraliśmy się do sprzątanía pozostałości po dawnym zajeździe oraz malowaniu zmontowanych na nowo metalowych zardzewiałych łózek a przewodziła temu kol. Janina Ruczkowska obecnie Pani profesor Akademii Medycznej, przyszedł gospodarz i pyta skromnie „ile ten remont będzie kosztować”. Odpowiedzieliśmy, że nie wiemy, ale wg umowy, właściciela nic, z tym że podpisze z nami umowę na wykorzystywanie obiektu dla celów turystycznych. W pierwszej fazie naszej pracy nie wiedzieliśmy czy podaliśmy temu zadaniu, które postanowiliśmy wykonać. Tydzień w tydzień donosiliśmy nowe rzeczy potrzebne do remontu i uruchomienia przyszłej bazy noclegowej. Koleżanki i koledzy wymieniali się w tej zbożnej pracy, niektórzy jako człon kadry, stale byli obecni na posterunku. Wyjeżdżaliśmy z Wrocławia w sobotę o 1300-tej - - w Dusznikach (z przesiadką w Kłodzku), byliśmy o 1800-tej, a dalej pieszo 8 km z bagażem docieraliśmy na miejsce o 2000-tej. Gorąca herbata zawsze na nas czekała. W tym czasie żadna komunikacja Duszniki - Zieleniec nie istniała, ale my zahartowani w Tatrach, dawaliśmy sobie z takimi trudami radę. W tym okresie w Zieleńcu istniały domy kolonijne „HUTY BATORY”, które zostały przejęte przez Akademię Wychowania Fizycznego z Warszawy. Myśleliśmy o współpracy, lecz niestety rzeczywistość okazała się inna. Ta organizacja z różnych powodów starała się nam przeszkadzać w realizacji naszych planów, ale o tym będzie dalej.

Remont i przygotowanie do otwarcia trwało nie przerwanie do późnej jesieni, zgłosiliśmy otwarcie obiektu do eksploatacji odpowiednim władzom, powiatowym w Kłodzku, wojewódzkim we Wrocławiu a przede wszystkim władzom PTTK-owskim, które oceniły nasze poczynania pozytywnie.

Co na to nasi gospodarze?, gdy dostali umowę o współpracy, On, Kierownik, pobierający należności za noclegi, prowadzący małą gastronomię, a my skromne 10 % z noclegów, za remont żadnych kosztów, rozpląkał się szczerze i nie wiedział jak ma dziękować. (umowa w załączeniu)

Obiekt został nazwany „Wrona”

Obok schroniska mieszkał ojciec gospodarza też Józef Wrona, w budynku, który również wymagał remontu. Ponieważ chciał wyjechać w rodzinne strony na Śląsk, podjęliśmy się próby przygotowania obiektu dla turystyki, przejmując zobowiązania właściciela, wobec Urzędu Skarbowego. Kol. B.K., Z.W. i T N, pożyczyli Oddziałowi ówczesne 13.000,-zł opłacili należności i wykupili za te pieniądze ruchomości, a z

Urzędem Powiatowym podpisali umowę o wieczystą dzierżawę, nazywając obiekt „SOKOLIKIEM” TKKF O. PAN

Działalność rozpoczęliśmy od przyjęcia na obóz grupy studentów z Akademii Medycznej, której przewodził kierownik Katedry Wychowania Fizycznego Edward Kędzior, równocześnie Prezes naszego Klubu Narciarskiego. Nasza grupa również była na tym zgrupowaniu. Zima dopisała, ponieważ jest tam mikroklimat tundrowy przejawiający się w niższych partiach gór Orlickich na pograniczu z górami Bystrzyckimi na tzw. „Topieliskach” roślinnością tundrową.

Organizowaliśmy wiele imprez zimowych i letnich dla naszych członków PTTK i nie tylko, mając odskocznnię od Śnieżnika, do czasu kiedy, jak pamiętam, mieszkałem u kol. Franciszka Połomskiego Wiceprezesa Oddziału. Rano około godz. 6.00-tej dnia w kwietniu 1958 r. budzi nas Kierownik schroniska Józef Wrona młodszy proponując mnie 5.000,- zł. Pytam za co? w odpowiedzi usłyszałem, Pan wygrał dla mnie 360.000,- zł i drugi raz 90.000,- zł w „Liczyrzepkę”. Oczywiście tych pieniędzy nie przyjąłem, ale usłyszałem rewelacyjną wiadomość, że On z rodziną wyjeżdża do Niemiec, jest już przygotowany i czeka na nas celem przekazania schroniska na moje tj. Z.W. ręce (za wszystkie wygrane pieniądze, zakupił sprzęt i dobytek do zabrania ze sobą).

Decyzja Zarządu była natychmiastowa, trzeba to było wszystko załatwić notarialnie, czasu było nie wiele a Wrona sprawę stawiał serio. Po załatwieniu formalności i wyjeździe rodziny, trzeba było rozejrzeć się za kierownikiem obiektów, „Wrony” i „Sokolika”. W tym czasie pełniliśmy na zmianę dyżury, przy okazji naprawiając uszkodzenia w hydraulice i centralnym ogrzewaniu. Przy wydatnej pomocy kol. Ninki Nawary inżyniera kierownika pracowni głównego mechanika W Z W S, która dostarczyła narzędzi, sami wspólnie z kolegami Mieczysławem Gałygą, Tadeuszem Pruchniewiczem i Zbigniewem Krukowskim wyremontowaliśmy nieczynne centralne ogrzewanie. W tym czasie szykowaliśmy się do wyremontowania przekazanych nam „Wierchów” zdewastowanych przez miejscową ludność, wyszabrowanych i ogołoconych z przewodów grzewczych i innych. Podpisaliśmy umowy z Radą Narodową w Kłodzku, ze sponsorami - Zakładami Energetycznymi na 400.000,- zł, oraz z ZG TKKF w Warszawie na 80.000,-zł. W tym właśnie czasie, zjawiała się Pani Prezes ZG TKKF w schronisku i była bardzo zdziwiona, że takimi pracami zajmują się prezes oraz członkowie Zarządu, tak że bała się podać na przywitanie ręki by sobie jej nie pobrudzić. (i jak tu mówić o władzy robotniczej w stosunku do robotników - np.

robotnik Mesner i inni z KC)

W końcu maja zgłosiła się pani, rezolutna, zdecydowana Olga Rydz inżynier profesji nie pamiętam. Zapowiadała się jako dobrze spełniająca swoje obowiązki, przyjęła do pracy niejaką panią, Zofię Marciniak jako kalkulatorkę i tak prowadziły gospodarstwo na razie bez żadnych problemów. Przyszedł czas „Andrzejek” listopad., członkowie Zarządu zawsze organizowali grupy chętnych na wyjazdy, teraz mieli własną bazę. Ustalono, że kolega M. Gałyga zwerbuj kolegów, natomiast Z. W. koleżanki i nie miało być więcej niż 30 osób. Był piątek, pojechałem po pracy do miasta zakupiłem bibułkę i inne przedmioty do dekoracji sali, reflektory do robienia zdjęć oraz lepszego oświetlenia i w sobotę rano, ponieważ miałem wolne, pociągiem dostałem się do Dusznik a stamtąd jak zwykle pieszo do schroniska. Tu, szczęśliwe panie przygotowały kolację na wieczór andrzejkowy, pomogły udekorować salę, która była kolorowo oświetlona na przyjęcie swoich gości.

Nastąpiła godzina przybycia grupy na zabawę, którą zawsze prowadziła Ninka N. oraz Miecio G. Woła mnie kierowniczką, że już idą, ponieważ słychać gwar.

Otwieram drzwi i zaczynam liczyć panie jedna, dwie, trzy, doliczyłem 12 - cie, odrzwia się zamykają a ja pytam gdzie panowie , odpowiedź „idą”. Po kilku minutach otwieramy schronisko i zaczynamy liczyć a tu wszedł tylko jeden pan i był nim nie kto inny, tylko sam Mieczysław Gałyga. Co będziemy robić, 14 pań i tylko dwóch facetów ? Zaczęliśmy się pocieszać, że jakoś to będzie, najpierw wróżby a później tańce. Miecio twardy danser lecz ja, który zawsze stronił od zabaw tanecznych ? Po godzinie a było już ciemno, muzyka grała głośno z radia, dekorację było widać na zewnątrz i całą iluminację, wchodzi kierowniczką i mówi, że jakiś pan chce ze mną mówić. Wychodzę do sieni, a tu stoi mały człowieczek w roboczym ubraniu, trzyma kaszkiet w garści i pyta czy tu jest zabawa, to jeśli można to oni pracownicy remontujący budynki A W F z Warszawy przyjdą. Kto by nie skorzystał z tej okazji, by umilić żywot swoim koleżankom. Odpowiadam tak, tylko rozumie pan trochę inaczej ubrani. Oczywiście jestem inżynierem na budowie, przyjdziemy właściwie ubrani i wyszedł w ciemność. Nic nie mówiąc dziewczynom zacząłem przygotowywać Mietka do zmiany obrotu sprawy, mają być w dwunastu, więc nadwyżka nas uratuje, zwłaszcza że panie zarządzające obiektem wycofały się z zabawy. Czekaliśmy z dwie godziny zanim pokazała się kierowniczką, dając znać że panowie już są. Zdziwienie moje nie miało granic, kiedy ujrzałem tę dwunastkę w „gangach”, białych koszulach pod krawatami a gdy ujrzałem worki od cementu

pełne ciastek, czekolady, cukierków i pełnych flaszek wina, oniemiałem. Pytam co to ma znaczyć, słyszę skromną odpowiedź, - „nie mogliśmy nic więcej dostać”. Rozbroili mnie do końca, nie mówiąc nic, byłem szczęśliwy z losu, który mnie spotkał. Nie czekając dłużej, otworzyłem wejście na salę i powtórzyłem historię sprzed kilku godzin, wpuszczając tym razem panów licząc do dwunastu. A gdy na stół zaczęliśmy znosić wiktuały „pierwszej potrzeby”, widzieliśmy oczy Pań pełne niedowierzania, czy to dzieje się naprawdę. Moja satysfakcja, polegała na tym, że ten, który stronił od trunków, wypił duszkiem tyle, że Miecio znalazł mnie siedzącego jako „świętka”, rano w kuchni przy piecu. Pożegnaniem nie było końca, a ekipa remontowa dostarczyła nam transport do Dusznik, tak że nie musieliśmy iść do dworca pieszo. Zbliżały się Święta a za nimi Sylwester. Tradycyjnie przygotowywaliśmy zabawę Noworoczną i grupę Zarządu oraz resztę członków, kto chciał. Wyjazd nastąpił zaraz po Świętach, ponieważ to było zgrupowanie tzw. obozu narciarskiego i miało trwać do 06. 01. 1959 r. Zarząd reprezentowali, piszący, M. Gałyga- sekretarz, Janina Nawara - skarbnik, Marian Mordarski - wiceprezes i inni. Zauważyliśmy, że z gospodarką prowadzoną przez te panie, nie jest tak dobrze a gdy zaczęliśmy rozliczać, nastąpiła „różnica zdań”. Po zabawie nastąpiło zwolnienie natychmiastowe, tak że dalszy nasz pobyt był obsługiwany przez koleżanki i kolegów pod przewodnictwem Zosi Łuszczewskiej najlepiej znającej się na sprawach kulinarnych. W tym pomagała jej, pani Szewczykowa, kucharka zatrudniona w schronisku. Pobyt narciarski się udał, lecz po powrocie, należało szukać następnych gospodarzy do prowadzenia obiektów, a w międzyczasie musieliśmy pełnić dyżury w schronisku. W niedługim czasie zgłosiła się grupa byłych partyzantów, pan „Przebój” Franciszek Pieniak i jego dawny podwładny z żoną, państwo Finke. Dopóki gospodarzył „Przebój” gospodarka prowadzona była fantastycznie, w stylu wojskowym, wszystko miało swoje miejsce. Zbierano siano z 14 ha łąk i sprzedawano, jako koniczynową paszę, krowa która została po Józefie Wronie seniorze, który wyjechał na Śląsk, dawała sporo mleka na użytek turystów i nie tylko. Zorganizowano nowe pomieszczenia do spania, poszerzono lokal na umywalki i ubikacje. W tym czasie sprowadzono z Huty blachę na pokrycie dachów w obydwu budynkach i przygotowywano się do kapitalnego remontu obu schronisk.

Pan „Przebój” po pół roku zrezygnował z kierownictwa na rzecz pana Finke twierdząc, że z żoną panią Krystyną Finke, dadzą sobie świetnie radę.. Niestety nie sprawdziła się prognoza, zaczęły się kłopoty.

Na pierwszy ogień poszły „Wierchy”. Dostaliśmy wezwanie z prokuratury w Kłodzku, że budynek całkowicie został zniszczony i my wiemy, kto to zrobił. Naprawdę to nic o tym nie wiedzieliśmy, dopiero po oględzinach i rozmowach z miejscowymi, nieoficjalnie podano nam przyczynę dewastacji budynku, przeznaczonego do remontu. Okazało się, że za namową pracowników AWF Warszawa, dwaj mieszkańcy Zieleńca, rozbili stropy piwniczne a dźwigary metalowe powyrywali z fundamentów, co spowodowało odsunięcie się ściany tylnej i zapadnięcie się całego dachu do środka, dziwne że ich tam nie zabiło ! Dźwigary natomiast znalazły się wmontowane w budowaną stołówkę AWF. Ponieważ, nie mogliśmy się wypowiedzieć na ten temat – groziło nam niebezpieczeństwo - prokuratura umorzyła dochodzenie i tym samym sponsorowane dotacje przepadły.

Następnie, miejscowi notable PTTK-owscy z Polanicy zaczęli postrzegać nas o prywatne korzyści materialne przy prowadzeniu schroniska, rozpowiadając niesamowite brednie na ten temat, dopiero gdy zagroziliśmy doniesieniem do prokuratury o wszczęcie dochodzenia w naszej sprawie, zaprzestano nam dokuczać.

Informacje i dokumenty dotyczące Jarkowic

Gazeta Robotnicza (Wrocławska) 15. 12. 1959 r.

Przedruk

„Nowe schronisko”

Niez mordowany Oddział PTTK przy Instytutach Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu (jego zasługą jest m. in. ponowne ożywienie Zieleńca) na nowo przysłużył się rozwojowi turystyki na Dolnym Śląsku. W Jarkowicach w pow. Kamienna Góra uruchomione zostało przez turystów - naukowców nowe schronisko. Od czerwca br. była tu stacja turystyczna. Po wyremontowaniu dwóch budynków zdecydowano się otworzyć schronisko czynne przez cały rok. Jest tu na razie 70 miejsc noclegowych, a od lutego 1960 r. - 100. Schronisko ma na ogół dwu- i trzyosobowe pokoje, lecz są też cztery „zbiorówki”. Kuchnia, bufet, świetlica - to dalsze jego urządzenia. Jarkowice leżą w dolinie Srebrnego Potoku i są dobrą bazą wypadową zarówno w Karkonosze i Rudawy Janowickie, jak i Góry

Wałbrzyskie i Lasocki Grzbiet.

Komentarz

W tym okresie kierownikiem schroniska „W Dolinie Srebrnego Potoku” był abs.
Wyższej Szkoły Muzycznej we Wrocławiu, Andrzej Zaszoft.

Wojciechowski Zygmunt

„Srebrny Potok” - Schronisko - Stacja Turystyczna - Ośrodek Wypoczynkowy

Obiekt turystyczny w Jarkowicach powstał, na bazie zdewastowanych budynków dawnej strażnicy granicznej / Grenzschutz /. Takie placówki były budowane wzdłuż byłej granicy śląsko – czeskiej, a w latach 25-tych XX wieku, austriacko – niemieckiej. O tym pisali niemieccy historycy uznając, omawiane regiony za tereny Śląskie - Piastowskie, wymieniając polskich książąt jako właścicieli . Takich placówek w rejonie Kamiennej Góry było wiele, począwszy od Chełmska przez Lubawkę do Przełęczy Okraj a to : Chełmsko - Lubawka – Szczepanów - Niedamirów – Dolina

Srebrnika - Dolina Białej Wody / już nie istniejących budynów / i na Przełęczy Okraj. O tych placówkach wielokrotnie będzie mowa, w dalszej części opisu.

Te strażnice były budowane w latach 25 – 30 tych i nasz obiekt również powstał w tych latach, dokładnej daty nie znamy, ponieważ księgi wieczyste zaginęły i trzeba było zakładać nowe. / na to są dokumenty /

Omawiane budynki były zamieszkałe przez cztery rodziny strażników granicznych niemieckich, aż do końca wojny do 1945 r. i zajęte przez WOP, straż graniczną Wojsk Ochrony Pogranicza. W roku 1947 WOP opuścił placówkę, przekazując budynki Gromadzkiej Radzie Narodowej, właścicielom tych terenów. W międzyczasie gospodarzami tych zabudowań byli Harcerze, nie wiemy z jakiego Hufca, ale też zostawili te obiekty, powód nieznany. Zabudowania ulegały zniszczeniu, będąc dewastowane, inne podobne jak w Dolinie Białej Wody, zginęły w tym czasie całkowicie, również karczma „Młyn” i pawilony gastronomiczne u zbiegu dolin Białej Wody i Srebrnika, także skocznia narciarska na stoku Pańskiej Góry. Teren był zamknięty dla gospodarki narodowej, szukano uranu, z racji tej że niedaleko były kopalnie tego surowca, w Kowarach i w rejonie Zacleża w Czechach.

W tym czasie, nasi członkowie P T T K, pracowali w tym rejonie, robiąc dokumentację geologiczną tych terenów. Mieszkali u Pani Szwedowej, przechodząc do zajęć w terenie Doliny Srebrnika, codziennie oglądali te dewastowane budynki. Nie mogąc na to patrzeć, rozpoczęli pertraktację z GRN w Miskowicach o przekazanie w dzierżawę tych obiektów na bazę noclegową dla Oddziału PTTK PAN, który już takie bazy organizował. / były to lata 1956 – 1958 /

Byli nimi pracownicy Instytutu Geologii z Wrocławia, Maria i January Szałamachowie, będąc we Wrocławiu zawiadomili nas o zgodzie GRN na podpisanie umowy o przekazanie nam za symboliczną złotówkę tych obiektów na 10 lat. Po powrocie do Jarkowic, kol. January podpisał tę umowę z Przewodniczącym panem Tadeuszem Baranowskim, 06. 10. 1958 r. Obiekty zostały zabezpieczone, t zn. zabito wejścia i oczodoły / okna / deskami - co to za zabezpieczenie - ? i czekano na łut szczęścia.

Od podpisania umowy, czekaliśmy kilka miesięcy na ten przysłowiowy „łut”, którym okazał się człowiek, gdy przyszedł na zebranie Zarządu (był to listopad 1958 r.) z zapytaniem „czy czasami nie potrzebujemy kierownika schroniska w Jarkowicach, ponieważ ktoś mu o tym mówił”. Tłumaczymy człowiekowi, a był nim absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej, że to jest zdewastowane i nie możemy nikogo wrabiać w tak dużą sprawę bez zabezpieczenia finansowego. Jednak był tak uparty,

że wymusił na nas delegację i zezwolenie z USW na przebywanie w strefie nadgranicznej, która zaczynała się już w Wałbrzychu a następne punkty kontrolne to w Kamiennej Górze i Lubawce, skąd pieszo trzeba było iść 10 km będąc, na tak krótkiej trasie, wielokrotnie kontrolowanym .

W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że Kol. Andrzej Zasztajt, o którym nic nie wiedzieliśmy, zginął nam z horyzontu na co najmniej trzy miesiące i zdążyliśmy o nim zapomnieć. Po wymienionym czasie, tj w styczniu 1959 r., zjawia się na spotkaniu, i osłupiałym z wrażenia członkom Zarządu proponuje przyjazd grupy, „ekipy remontowej” do pracy społecznej, ponieważ o naszych wyczynach już słyszał. Jak byśmy mogli na taki apel nie zareagować, zwłaszcza, że „on zaangażował się w fabryce zabawek jako kapelmistrz, dostawał materiały budowlane, przygotował sobie mieszkanie, i jeden pokój dla nas jako społecznych wyrobników”.

Wiedzieliśmy, że do takiej eskapady należy się dobrze przygotować. Przede wszystkim dla „EKIPY”, trzeba było załatwić przepustki na stały pobyt, w rejon strefy nadgranicznej, następnie coś do spania, na razie na podłodze, również do jedzenia a na przejazd pociągiem do Sędziszawia pieniądze własne. Druki delegacyjne były tylko do pokazywania miejscowym władzom, gdyż inaczej nie moglibyśmy dostać się do Jarkowic.

Pierwszy raz trzeba było z Sędziszawia pieszo dostać się do Kamiennej Góry (7 km) i dalej przez Janiszów, Starą Białkę, Miskowice do obiektów w Jarkowicach (16 km z plecakami 45 kilogramowymi) Wyjazd z Wrocławia nastąpił 31. 01. 59 r. o godz. 13.00, na miejscu byliśmy dopiero o godz. 21.00. Po drodze byliśmy kilkakrotnie kontrolowani, w Wałbrzychu w pociągu, w Sędziszawiu na stacji po wyjściu z pociągu, w Kamiennej Górze koło dworca, w Miskowicach na skrzyżowaniu do Lubawki i dwa razy już w Jarkowicach na drodze do schroniska. (razem 6 razy) Prąd już, przez kierownika i dzikich lokatorów, którzy zdążyli w międzyczasie się wprowadzić, zajmując w jednej klatce dwa pokoje i kuchnię, był prowizorycznie podłączony. Po wspólnej kolacji, położyliśmy się spać, rozkładając na podłodze koce, przykryci przywiezionymi prześcieradłami, oblizywani przez psa nie proszonych lokatorów. Byli nimi rodzina Pawlikowskich, matka i dwóch synów, Rysiek oraz młodszy Krzysztof. Rano trzeba było zrobić przegląd przyszłych robót, i od GRN w Miskowicach przejąć obiekt na podstawie protokołu zdawczo-odbiorczego

Grupa ochotników do tak ciężkiej pracy nie była mała, przyjechało 20 osób a to :

Zygmunt Wojciechowski - Instytut Immunologii PAN,

Janina Ruczkowska - Instytut Immunologii PAN,

Zbigniew Krukowski - Instytut Immunologii PAN,
 Stefan Rowiński - Instytut Immunologii PAN,
 Tadeusz Michalski - Instytut Immunologii PAN,
 Barbara Klubuńska - Instytut Immunologii PAN,
 Maria „Marynika” Łagowska Instytut Immunologii PAN,
 Zofia Łuszczewska - Instytut Immunologii PAN,
 Maria „Halinka” Guzik - Instytut Immunologii PAN,
 Janina Nawara - Zakłady Włókien Sztucznych.
 Ryszard Mażul - Zakłady Włókien Sztucznych
 Zbigniew Janicki „Hrabia Lolo” –,- Włókien Sztucznych
 Mieczysław Gałyga - Zakład Narodowy im. Ossolińskich Biblioteka, .
 Julian Swolkowicz - Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo
 Stanisław Słowik - Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo
 Irena Gołębiowska - Zakłady Odzieżowe „Kameleon”
 Henryk Żurawski - Instytut Uprawy Nawożenia Gleboznawstwa
 Zenon Gołębiowski - Zakłady Lotnicze
 Stanisław Gdula - Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego
 Wacław Brzozowski - Narodowy Bank Polski III O. W-w, oraz
 oraz Maria i January Szałamachowie Instytut Geologii, pracujący geologowie
 na miejscu.

Następnego dnia po śniadaniu 01. lutego 1959 przystąpiliśmy do usuwania gruzu po tynkach, rozbitych piecach kafłowych (szukano w nich skarbów), resztek instalacji elektrycznych i wod-kan. Piwnice były zawałone tymi materiałami, kiedyś w dobrym stanie, użytkowanymi przez poprzednich mieszkańców. Wyrzucono tego w ciągu kilku godzin kilkanaście ton. Kapać się po tej pracy musieliśmy w Srebrnym Potoku, ponieważ instalacja wodno-kanalizacyjna nie była czynna a umywalki ani ubikacji nie było. Czekaliśmy jeszcze na inwentaryzację i podpisanie jej przez upoważnionych do tego osób. Przyszedł Przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej Pan wówczas „Obywatel” Tadeusz Baranowski i nie mógł zrozumieć, że naukowcy podjęli się tak brudnej pracy i to społecznie. (komentarz - Dlatego też niech nikogo nie dziwi, że tak zawzięcie broniliśmy się aż do dzisiaj, przed odebraniem nam naszej ciężkiej pracy, przez różnych nieuczciwych ludzi i instytucje, na co mamy niezbitą dowody, nie tylko tu chodzi o Jarkowice, również Zielieniec i inne stacje turystyczne a było ich około 20 - tu) Po skrupulatnym sprawdzeniu pozostałości sprawnych kiedyś budynków,

po przeliczeniu braków, w całym obejściu Komisja w składzie :

Zbigniew Krukowski inżynier

January Szałamacha inżynier

Andrzej Zasztajt kierownik schroniska

Tadeusz Baranowski przewodniczący GRN w Miskowicach

Zygmunt Wojciechowski prezes Oddziału PTTK PAN

sporządziła protokół zdawczo-odbiorczy i podpisała go dnia 01. Lutego 1959 roku.

Po tak ciężkim dniu, zadowoleni z udanych początków, następnych spodziewanych dokonań, ruszyliśmy pieszo 10 km do dworca w Lubawce, skąd pociągiem z przesiadką w Marciszowie, dojechaliśmy do Wrocławia, myśląc o następnej wyprawie w następną sobotę.

Zygmunt Wojciechowski

Wycieczki p. t. „Przewodnik czeka”

1. „Andrzejkowe Spotkanie Przyjaciół” 26–28. 11. 2004 r. Zaplanowano odjazd w piątek o godz. 16.00 z parkingu za pocztą główną koło Galerii Dominikańskiej. Oczywiście z 78 zgłoszonych osób , pojechało autobusem wynajętym poprzez Pana Marka Kieryka z Olesnicy, tylko 22 osoby z przewodnikami, Markiem - Zygmuntem Źdzarskim, Stefanem Rowińskim i Zygmuntem Wojciechowskim. 3 osoby dojechały do schroniska „Srebrny Potok” własnym samochodem. Organizatorem całości była Pani Henryka Nowakowska. Autokar Jelcz o długości 12 m. nie odjechał punktualnie, ponieważ Kol. Marek Ź. opóźnił swoje przybycie na miejsce zbiórki. Było na ten temat wiele uwag, np. że „na 5 lat, był bardzo punktualny tylko raz”, innych spostrzeżeń nie będę komentował. Wyjazd z parkingu był bardzo utrudniony, gdyż nie jest w zwyczaju Polaków, posiadających samochody, zwracanie uwagi, na porządek obowiązujący w miejscach postoju, najlepiej zastawić drogę wyjazdu

bliźniemu, a niech sam się martwi, co z tym zrobić. Zanim pokonaliśmy trudności, trwało to jeszcze 15 minut, przy manewrowaniu takim kolosem, w takiej cizbie małych samochodów. Już sam wyjazd z miasta wymagał dużo cierpliwości, w korkach do autostrady dojechaliśmy po 40 minutach. Dalej już było lepiej, tak że przez Kostomłoty, Jarosłów, z postojem na „hydrauliczne” zapotrzebowanie w zajeździe przed Strzegomiem, przejechaliśmy obwodnicami koło Dobromierza - Bolkowa – Marciszowa, przez Kamienną Górę i t.zw. 30-stką przez Starą Białkę, Miskowice, Jarkowice, skąd do schroniska 2 km. Dojechaliśmy na miejsce pokonując 125 km. w prawie 4 godz. z oczekiwaniem na spóźnialskiego i z przerwą na wymienioną wcześniej konieczność. Z daleka widzieliśmy mocne i liczne oświetlenie otoczenia Stacji Turystycznej a podjeżdżając, w oknie jadalni wyczekującą nas Kierowniczkę obiektu. Przywitano nasze grono serdecznie, i ugoszczono kolacją - zupą krupnik, (domowa, czyli smaczna) a do tego ruskimi pierogami miejscowego wyrobu, z drobno pokrojoną pieczoną kielbaską. Po otrzymaniu kluczy do noclegowych pomieszczeń, już wyposażonych na miarę obecnych nowych czasów, każdy w podgrupach zajął się, swoimi interesującymi ich sprawami. Nie było tym razem spotkania towarzyskiego, zrozumieliśmy że każdy miał już dosyć wymienionej wyżej drogi i poszedł spokojnie na t. zw. „wyciąg”. Noc przebiegła spokojnie w ciepłych pokojach. Rano wypoczęci po dokonaniu „oblucji”, zgłosiliśmy się o godz. 8.00 jak jeden mąż, do „szwedzkiego stołu”, starczyło wszystkim, nikt nie miał na ten temat żadnych uwag, jak to „drzewiej” bywało.

Nakarmieni sałatkami, kielbaskami, jajkami w majonezie, serkami i czym jeszcze Bóg jeden wie W każdym razie były nawet dla niektórych dokładki, ruszyliśmy do autobusu, którym mieliśmy zwiedzić okolice Trutnowa. Pogoda nas nie rozpieszczała, była mżawka na przemian ze śniegiem, a przy odprawie na granicy, interesowali się nami tylko polscy pogranicznicy. W samym Trutnowie zaliczyliśmy najpierw muzeum regionalne a tematem zwiedzania, były „wojny austriacko-pruskie i pamiątki z pól bitewnych, obeliski, pomniki i militaria obydwu walczących stron”. I po co im to było? Nie pozostali tu jako władcy, ani austriacy, ani Niemiecy, chociaż próbują zaistnieć na tych terenach ekonomicznie. Później było trochę wolnego czasu dla odprężenia – nie zawiele - każdy rozglądał się za prezentami dla rodzin i bliźnich, i gdy wszyscy z tym się uporali, mogliśmy odjechać do następnego postoju na zwiedzanie.

Mieliśmy trochę kłopotów z postawieniem wozu, trzeba wszędzie płacić a tu brak drobnych „paciorków”, czyli koron, tak że za pożyczone od Stefanka drobne, (niesłusznie zresztą 10 Kc) zapłaciliśmy za duży wóz, na parkingu dla małych samochodów (za dwie godziny), lecz gdyby była policja, uiścilibyśmy „pokutu” z opłatą prawidłową 300 Kc. Następny postój był po południowej stronie rynku i znów trzeba było płacić 50 Kc, ale już za prawidłowe postawienie naszego pojazdu.

Tu trzeba było zaliczyć dwa wzgórza, z pieczołowicie odrestaurowanymi pomnikami Austriaków, czy Prusaków, (obcych dla Czechów) – przecież to również i nasza historia Śląska. Trwało to z godzinę, tak że zostało nam niewiele czasu na odwiedzenie odległego od Trutnowa 14 km, Dvoru Kralove. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że za postawienie autobusu na parkingu, trzeba zapłacić 3 x więcej niż w Trutnowie, tj. 150,- Kč. Prawie wszyscy poszli zwiedzać ogród tzw. Safari a kilka osób, które już tu były, zaliczyło miłą lokalną kawiarenkę.

O godz. 16.00, po wspólnym jednomyślnym uzgodnieniu, ruszyliśmy w drogę powrotną do gra-

nicy Karlovac – Lubawka. Gdyby nie II-ga Wojna Światowa, prawdopodobnie byłoby tu przejście graniczne Karlovac – Jurkowice, w tym miejscu bowiem była wioska o tej nazwie. Przed dojazdem do granicy, trzeba było się zatrzymać koło Wietnamczyka, ponieważ niektórym ciążyły złotówki, a wschodni kupiec, nie był wybredny, więc zarobił, a zakupów było co niemiara. Na granicy nikt nie chciał się nami interesować, tak że okazało się, iż naprawdę przyszły już inne czasy, kiedy to nie tak dawno, nie mając nic do oclenia, człowiek przeżywał stres, takie były dokładne kontrole i tacy byli celnicy, oczywiście nie dla wszystkich. Wróciliśmy o 18.00 i czekała na nas obiado–kolacja – zupa ogórkowa, gołąbki z sosem i ziemniaczkami. Po krótkim odpoczynku wszyscy

udali się nad strumyk o nazwie Srebrny Potok, takiej samej, jak schronisko, pod obszerną wiatę, gdzie było przygotowane ognisko z rusztem na grilla, tak że kiełbasek z musztardą, keczupem i chlebem, starczyło dla wszystkich. Stefanek przygotowywał się do napisania okolicznościowego wierszyka, reszta sobie tradycyjnie podśpiewywała, tak że czas spędzono zbożnie. Później to już były spotkania w podgrupach zaprzyjaźnionych sąsiadów, nikt nie miał kaca i żadnego z nas nie bolała głowa. Rano powtórka z rozrywki, mykwa, ubranko do wyjścia w plener lub do kościółka i oczywiście stół szwedzki, jedzenie do wyboru i koloru. Ktoś jednak na śniadanie nie przyszedł, tego jednak nikt nie zauważył, poza organizatorami. Po konsumpcji, każdy mógł sobie wybrać, wariant Kościoła, ewentualnie wariant spaceru na Pańską Górę z odnowioną kapliczką i dalej na Owczarkę, inni zaś na bliższe spaceru.

Obiad wyznaczono na godzinę 13.00 – zupa rosół z ryżem nie typowo, zrazy zawijane, przyprawiona surówka z kiszanej kapusty i pyszne ziemniaki. Po spakowaniu „maneli”, żegnając się z gospodarzami, panią Reginą i panem Bronkiem, odjechaliśmy szukać prezentów lnianych, pozostałość rękodzielnictwa z dawnych manufaktur, znajdujących się w Chełmsku Śląskim, w oryginalnych domkach tkaczy tzw. „12-stu Apostołów”. Zakupy i zwiedzanie miasteczka, strasznie zaniedbanego, trwały prawie godzinę. Podcienia wokół rynku, część zrujnowana, kościół już odnowiony i kilka nowo wybudowanych domków nawiązujących do „Domków Tkaczy” i jeden murowano-drewniany - „Domek Ewangelisty” (jakoś się zachował, a było ich cztery).

Zostawiamy ze smutkiem zabytek miejski na peryferiach i zaabsorbowani myślami co dalej będzie, udając się do Krzeszowa, tradycyjnie obejrzeć co nowego po renowacji bieżącej.

Tu okazuje się, że mamy mało czasu, nawet nie pół godziny. Każdy zaliczył w wiadomej sprawie „Willmanową Pokusę” a następnie pobiegł do Kościoła NMP, posłuchać co mówią przewodnicy na temat tak wspaniałego baroku. Kiedy znaleźliśmy się już w autokarze, zaproponowano bezpośredni powrót do domu, na co zgodnym głosem wszyscy się zgodzili. Jadąc, myśleliśmy że niedługo będziemy w gronie swoich domowników, a tu za Strzegomiem, trzeba było zrobić postój ponieważ część towarzystwa nie zdążyła zaliczyć restauracji w Krzeszowie. Gdy ruszyliśmy i udało nam się dotrzeć do autostrady, rozpoczęły się targi, gdzie będą przystanki wysiadkowe. Okazało się, że trzeba zmienić trasę tj. zjechać z autostrady na wysokości Kątów Wr.

Tu zostali Państwo zamieszkujący tę miejscowość, dalej pojechaliśmy w kierunku Oporowa i przez Solskiego koło WAT-u przy Grabiszynskiej wysiadła druga grupa. Inne grupy tymże autobusem, przedostając się przez Klecińską na Ostatni Grosz wysiadły na przystanku przy kościele, część miała przesiadkę na autobus MPK 119 i musieli czekać około 30 min, ponieważ poprzedni

uciekł. Reszta wycieczkowiczów, małżeństwo które miało wsiąść na Legnickiej, Marek i Stefan pojechali do centrum. Będąc już na peryferiach Wrocławia podziękowano Panu Piotrowi kierowcy za spokojną i bezpieczną jazdę, Stefankowi za wiersz dokumentacyjny, Pani Hani za organizację i Markowi za przewodnictwo i dogłębne informacje podczas całej imprezy. Czy wszyscy byli usatysfakcjonowani tego jeszcze nie wiemy, chociaż niektórzy już wypowiedali się pozytywnie, wyrażając chęć uczestniczenia w następnej podobnej eskapadzie.

Wrocław, dnia 31. 03. 2005 r.

P. T. Przewodniczący obrad
Zjazdu Oddziału PTTK przy Inst. PAN
we Wrocławiu

Informuję uprzejmie i wyrażam żal, że z powodu niedyspozycji zdrowotnej nie Jestem w stanie, jako delegat, uczestniczyć bezpośrednio w obradach Zjazdu.

W związku z powyższym składam na piśmie mój głos w dyskusji nad tezami Przedstawionego sprawozdania z działalności Oddziału za okres od 03. 03. 2001 do 31. 03. 2005 r., z prośbą o włączenie do dokumentów Zjazdu.

Z koleżeńskim turystycznym pozdrowieniem

St. Zdzisław Tymoczko

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy !

Na wstępie lakoniczna refleksja osobista. Z Oddziałem PTTK przy Instytutach PAN związany jestem formalnie od 28 lat. To poniekąd moja jednostka macierzysta, chociaż narciarsko próbowałem się realizować w WKN „Skade” działającym na prawach koła przy Oddziale Wrocławskim PTTK.

Gdy wracam pamięcią do drugiej połowy lat 70-tych, Oddział PTTK przy Inst. PAN z jego prezesem, Kol. Zygmuntem Wojciechowskim, jawił mi się jako elitarna jednostka PTTK prężnie działająca, realizująca z powodzeniem swoje statutowe zadania programowe nie tylko w zakresie turystyki i krajoznawstwa, lecz także w zakresie szeroko pojętej oświaty i kultury w środowisku młodzieży szkolnej, tudzież w zakresie rekreacji i ochrony środowiska. Oddział szkoląc swoją kadrę programową autentycznie kultywował tradycje turystyczne, popularyzował historię i dorobek PTTK kształtując właściwe postawy zwłaszcza młodych ludzi wobec kraju ojczystego i jego walorów turystycznych i krajoznawczych.

Jako niezłomny górski wędrowiec szcycący się odznaką GOT PTTK „Za Wytrwałość” z nostalgią wspominam Klub Tatrzański „Turnia”. Przez pewien czas pomagałem prowadzić Koledze Zygmuntowi tego Klubu agendy. Wówczas miałem przyjemność spotkać i poznać postać wybitną : Wiktora Ostrowskiego (ur. 1905), alpinistę, podróżnika, uczestnika i kierownika polskich przedwojennych wypraw w Andy i Góry Kaukazu, autora licznych książek, m. in.: „W skale i lodzie”(1937) „Wyżej niż kondory”(1959), którego gościliśmy, gdzieś około lata 1978 r. Nie sposób zapomnieć jego porywającej prelekcji wygłoszonej mocnym barytonem z pokazem kolorowych przeźroczy. Kawiarenka Klubu „Turnia” w pomieszczeniach Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN przy placu Katedralnym pękała w szwach. Oprócz opowieści z wypraw górskich, nie obeszło się bez Jego wspomnień sięgających czasów II wojny światowej i formowania się polskiej armii pod Andersem w Griazowcu i Buzułuku gdzie obok Józefa Czapskiego (znanego malarza, autora książki „Na nieludzkiej ziemi”) prowadził działalność

tw. kulturalno-oświatową pośród formujących się tamże oddziałów wojska polskiego.

Nawiązałem w tym kontekście do Klubu Tatrzańskiego „Turnia”, gdyż nie zapomniał też o nim w sprawozdaniu Kol. prezes Zygmunt Wojciechowski. Szkoda, że to już tylko „przyczynek do historii Oddziału”. Szkoda, że to odchodzi..

Być może, że w stosownym czasie nie zadbano konsekwentnie o zastrzyk młodej krwi, o narybek społeczników. Dziś pokolenie „dinozaurów” wyciszyło się wypaliła się w nim aktywność z prozaicznych przyczyn biologicznych i nie tylko z tych.

Jak wynika ze sprawozdania z działalności Oddziału PTTK PAN, istotne miejsce w działalności programowej zajmuje narciarstwo alpejskie jako forma rekreacji w warunkach zimowych na przygotowanych trasach, stokach i półkach narciarskich. Jest to wielce chwalebne. Tylko dlaczego w zapomnienie odchodzi wartościowa forma jego uprawiania, tj. narciarstwo turystyczne w formie wędrówek górskich, wysokogórskich, czy nizinnych, - na specjalistycznym sprzęcie – dających niezapomniane przeżycia.

Tu chciałem się podzielić z jednym istotnym spostrzeżeniem. Będąc samemu „zamiataczem” przygotowanych tras narciarskich i stoków, uprawiając także ski-tour, mam poważne wątpliwości, czy młodym adeptom narciarstwa, jak niegdyś mnie, wpaja się na kursach podstawowe kanony kodeksu narciarskiego, czyli narciarskiego *savoir vivre*. Obserwowana rzeczywistość w zachowaniu młodych ludzi na nartach i desce snowboardowej wydaje się przeczyć wysiłkom podejmowanym pod tym względem przez kadrę szkolącą. Podsumowując ten wątek nawiążę do sprawozdania z działalności Oddziału. Kolega prezes podaje w sprawozdaniu liczbę narciarskiej kadry działającej w ramach WSN. Jest to 58 osób. Mnie się nasuwa pytanie dlaczego oni wszyscy nie są członkami PTTK w tutejszym Oddziale? zwłaszcza w sytuacji, gdy stan członków na dzień 31.03.2005 wynosi 60 osób.

Postawię kolejne pytanie retoryczne: co stało się z górką turystyką kwalifikowaną? Czy pod tym względem obecność PTTK na forum krzewienia kultury turystyki i zdrowego wędrownictwa nie maleje? Bez nostalgii za latami realnego socjalizmu stwierdzam, że pod tym względem było imponująco. Wiedzę o latach międzywojennych czerpię z dostępnej literatury. Takie postaci jak Mieczysław Orłowicz, Władysław Krygowski, czy Adam Lenkiewicz, działacze najwybitniejsi Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, to najprawdziwsze ikony dla każdego miłośnika gór, wędrowca z plecakiem.

I chociaż ramy prawne określone nowym statutem PTTK teoretycznie otwierają możliwości kontynuowania tradycji i dorobku ideowego naszych poprzedników (tj. PTT i PTK), to w warunkach skomercjalizowania wszystkich dziedzin życia publicznego w nowej rzeczywistości polityczno-ustrojowej i ekonomicznej, trudno oczekiwać na społeczny altruizm zwłaszcza młodszych pokoleń mających niełatwe własne problemy do rozwiązania, z alternatywą opuszczenia ojczystego kraju.

Uczestnicząc od czasu do czasu w ogólnopolskich spotkaniach kadry narciarskiej PTTK organizowanych co roku przez Komisję Turystyki Narciarskiej ZG PTTK na Kalatówkach, widzę tych samych ludzi - w moim wieku lub starszych, a jest nas coraz mniej, gdyż biologia ma swoje prawa nieubłagane. Natomiast nie widać dopływu młodej świeżej krwi.

Na zakończenie dwa pytania z wnioskami w podtekście :

1. Dlaczego do tej pory nikt z prominentnych działaczy PTTK z terenu Wrocławia nie zadbał o to, żeby wystąpić z inicjatywą pod adresem Z G PTTK - Komisji Turystyki Górskiej, by wzorem działających od lat ośrodków terenowych kultury turystyki górskiej (jak Markowe Szczawiny pod Babią Górą, Jaworzyna Krynicka - przy schronisku PTTK, w Pieninach przy schronisku „Orlica”, w Bieszczadach – Ustrzyki Górne, w Gorcach na Turbaczu, na Przysłupie pod Baranią Górą) p o w o ł a ć i utworzyć podobny ośrodek w naszym dolnośląskim regionie górskim. Ośrodek taki, jako placówka terenowa Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej ZG PTTK, mógłby mieścić się przy którymś z karkonoskich schronisk. Miałby on, jak wyżej wymienione charakter małego muzeum, gromadzącego i udostępniającego zbiory historyczne i archiwalne regionu górskiego Sudetów.
2. Czy z ramienia PTTK jeszcze działa jakiś zespół odpowiedzialny za znakowanie szlaków turystycznych w górach?. Aktualne znakowanie jest często niechlujne a jakość znaków na szlaku kiepska. Pod tym względem powinniśmy uczyć się od naszych sąsiadów z południa : od Czechów i Słowaków.

St. Z. Tymoczko

Aneta Lotycz

Herb miasta Wrocławia

W roku Pańskim 1526 nastąpiły ciężkie czasy dla Rady Miasta Wrocławia. W owym roku zginął pod Mohaczem miłośnicy król Ludwik Jagiellończyk, a myśl o przejęciu władzy przez jego szwagra Ferdynanda I Habsburga była dla rajców wielkim utrapieniem.

Nowy władca przybył wkrótce do miasta, aby odebrać hołd. Dumnym był panem i nie znosił sprzeciwu. Wiarę protestancką, wyznawaną wówczas przez większość wrocławian, nazwał herezją luterancką i zażądał natychmiastowego wytopienia jej, oczekiwał też zwrotu majątków kościelnych zagarniętych przez Radę Miasta oraz wypędzenia ewangelickich

duchownych. Wielka złość ogarnęła rajców, kiedy dowiedzieli się, że król zamierza ustanowić nowy herb miasta nawiązujący do panowania Habsburgów.

Chytrym i stanowczym władcą był Ferdynand, cieszący się poparciem zarówno papieża jak i cesarza, ale równie chytry i przebiegli okazali się rajcy. Przez wiele lat miasto korzystało z licznych przywilejów nadanych przez Piastów i Luksemburgów, stawało się coraz bogatsze i piękniejsze dzięki rozwojowi handlu, a największe zyski z rozwoju miasta czerpali wrocławscy patrycjusze z Rady Miejskiej. Nie zamierzali zrezygnować z posiadanych dóbr, dlatego zebrali się w Sali Radnych, żeby coś uradzić. Postanowili zaprosić wielmożnego władcę i na jego cześć wydać huczny bal w Wielkiej Sali Ratuszowej.

Kiedy Król Ferdynand przybył na bal, był zdumiony bogactwem i gościnnością rajców, ale ponownie oświadczył, że nie godzi się na żadne ustępstwa. Wówczas usiadł obok króla syndyk rady miejskiej, Henryk Rybisch i powiada:

– Wielmożny panie, wszyscy wiemy, że wasza wysokość ma wroga nadciągającego od południa. Nie obawiacie się panie tureckich wojsk Sulejmana? – Ferdynand spojrzał na Henryka z trwogą, ale próbował nie dać po sobie poznać, iż sprawa ta spędza sen z jego oczu.

– Mam waleczne wojsko i wierzę, że żołnierze moi odniosą zwycięstwo.

– Czy wasza wysokość jest tego absolutnie pewien? – zapytał Rybisch. – Macie panie wystarczającą ilość talarów, żeby należycie opłacić swoją armię? – tym razem król nie odpowiedział nic. – Możecie być panie pewni, że ja i moi przyjaciele możemy zaoferować wam swoją przyjaźń. Srebra i złota nam nie brakuje. Możemy udzielić wam stosownej pożyczki, ale oczekujemy, że w naszym mieście pozostanie jak dawniej. Co się zaś tyczy herbu, ośmielam się zauważyć, że to nie wielmożny pan przyczynił się do rozwoju naszego miasta – Fryderyk popatrzył na Henryka z niesmakiem, ale nic nie odpowiedział. Po chwili wstał z miejsca i opuścił Wielką Salę. Bal trwał do białego rana, ale nie wszyscy dobrze się bawili, choć jadła i trunków nie brakowało. Patrycjusze spoglądali od czasu do czasu na Henryka, ale on nie przejmował się niczym. Tańczył, pił, grał w kości i bawił się najlepiej ze wszystkich. Kilku rajców, siedzących przy jednym stole, popijało piwo świdnickie i zastanawiało się co teraz uczyni król.

Mijały miesiące, a wrocławscy patrycjusze wciąż nie byli pewni swego losu i dalszych losów miasta. Pewnego dnia otrzymali wiadomość, że król przejeżdża za trzy dni, aby obwieścić ważną nowinę. Zapanowało wielkie poruszenie wśród rajców.

Kiedy Ferdynand I przybył do Wrocławia, udał się do dawnej kaplicy ratuszowej, stanął w wykuszu i przemówił do wszystkich mieszkańców miasta:

– Wrocławianie! Nadaję waszemu miastu nowy herb! Nie umieściłem w nim niczego, co wiązałoby się z rodem Habsburgów, ponieważ nie my budowaliśmy to miasto. Swoją świetność osiągnęło ono nie tylko dzięki ostatnim władcom, sprawującym tu władzę, ale i dzięki tym, którzy zostali przez wszystkich zapomniani. W nowym herbie postanowiłem upamiętnić wszystkich, którzy budowali to miasto. Ponadto umieściłem wizerunki jego patronów – po chwili rozwinął pergamin i wszyscy zobaczyli projekt herbu. Po środku widniała na srebrnej misie głowa Jana Chrzciciela, pierwszego patrona Wrocławia. Litera W umieszczona na złotym tle w lewym dolnym polu herbu symbolizowała imię założyciela miasta, czeskiego księcia Wratysława. W prawym górnym polu widniał na złotym tle czarny orzeł z półksiężycową srebrną przepaską, będący godłem Piastów wrocławskich, którzy ufundowali wiele wspaniałych kościołów i dokonali nowych lokacji miasta. Lewe górne pole zdobił biały lew w koronie, z rozwidlonym ogonem, na czerwonym tle – symbol władzy Korony Czeskiej, natomiast niżej, obok litery W, widniało czerwone pole, na którym przedstawiono popiersie św. Jana Ewangelisty, patrona dawnej kaplicy ratuszowej i Rady Miejskiej. Wszystkim podobał się projekt nowego herbu, nikt nie czuł się pominięty i nie szanowany. Wkrótce zapomniano też o dawnych sporach z królem Ferdynandem I. Zapanowała zgoda, życie w mieście toczyło się jak dawniej, a Henryk Rybisch został przyjacielem i doradcą króla. W 1530 roku cesarz Karol V zatwierdził nowy herb miasta Wrocławia. Przez wiele lat nikt nie odważył się go zmienić, dopiero po upływie czterystu lat herb został zmieniony dwukrotnie. Dzisiaj znów ma dawną postać, a każdy kto na niego spojrzy, myśli o bogatej historii Wrocławia. Nikt dokładnie nie wie dlaczego herb sprzed czterystu lat został przywrócony ponownie. Wielu wrocławian twierdzi, że upomniał się o niego duch miasta.

Aneta Lotycz

Aneta Lotycz

Królowa śląskich rzek i jej służebnice

Od wielu stuleci wije się rzeka Odra między ulicami miasta Wrocławia. Kiedyś ochraniała miasto i jego mieszkańców przed wrogami. Na odrzańskich wyspach stały młyny wodne, a koła młyńskie, obracane przez rzekę, miały ziarna zbóż, z których mieszkańcy miasta i okolicznych wsi wypiekali chleb. W średniowiecznym porcie miejskim, znajdującym się w pobliżu dzisiejszego Muzeum Narodowego, ładowano na statki śląskie towary. Wiele

łodzi pływało dawniej po Odrze. Wrocławianie uważali ją za królową śląskich rzek, a Oławę, Widawę, Ślęzę i Bystrycę nazywano służebnicami Odry.

Mieszkańcy Wrocławia i okolicznych wsi poważali każdą z rzek, ale bywały takie dni, że rzeki zalewały ulice i domy, budząc grozę wśród ludności. Powiadano wówczas, że bóg Viadrus, ojciec pięknej Odry, gniewa się na ludzkość i pragnie ją ukarać za grzechy. Rzeka Odra wraz z rzeką Oławą otaczały kiedyś całe Stare Miasto, czasami zalewały je, a ludzie nie potrafili sobie radzić z potężnym żywiołem. Po powodzi często wybuchały epidemie oraz klęski głodu, błagano wówczas Viadrusa o litość, ale na nic nie zdały się ludzkie prośby. Rzeki, dzięki którym mieszczanie mogli żyć, przynosiły niekiedy śmierć i nikt nie umiał temu zaradzić.

Mijały wieki, ludzkość stawiała się coraz bardziej oświecona. Z czasem wszyscy zapomnieli o pięknej córce Viadrusa i jej służebnicach, ale pozostały rzeki i ich nazwy. Ludzie zakopali część koryta Odry i Oławy, aby zapobiec powodzi i zarazie. Niektóre wrocławskie ulice przebiegają w miejscach, w których kiedyś płynęły rzeki. Stawy w Parku Nowowiejskim i Ogrodzie Botanicznym są pozostałością po dawnej Odrze, a Zatoka Gondol przy Muzeum Narodowym pozostała po dawnym ujściu rzeki Oławy. Ludzie zbudowali kanał powodziowy i żeglugowy. Nad Odrą zaczęły powstawać nowoczesne fabryki i porty. Wrocław stawał się coraz nowocześniejszy, a jego dumni mieszkańcy nie bali się już ani powodzi, ani zarazy, ani klęski głodowej. Nikt nie pamiętał o legendarnym bogu Viadrusie, budzącym dawniej grozę wśród mieszczan i okolicznej ludności, nikt też nie wierzył, że w mieście może nastąpić wielka powódź.

Nastał rok 1997. Wody Odry zalały wiele wsi i miasteczek, ale wielu mieszkańców Wrocławia do końca nie mogło uwierzyć, że powódź może zniszczyć ich miasto. Okazało się jednak, że i tutaj rzeka wylała. Wrocławianie musieli ciężko pracować przy budowie umocnień, żeby Odra całkowicie nie zniszczyła ich miasta. Wielu mieszczan pracowało przy wynoszeniu cennych ksiąg z piwnic bibliotek i archiwów. Dumni wrocławianie przekonali się o tym, że również dzisiaj walka z żywiołem jest trudna, wielu z nich wstydziło się swojej pychy.

Postanowiono upamiętnić trud ludzi ratujących Wrocław i postawiono na Moście Uniwersyteckim pomnik o nazwie „Powodzianka”. Mieszkańcy Wrocławia spoglądają teraz na „Powodziankę”, wspominając powódź i walkę o uratowanie dorobku kulturowego miasta, do którego nawiązują książki niesione przez kobietę. Nikt dziś nie boi się legendarnego boga Viadrusa, ale każdy wie, że wody Odry mogą kiedyś znów wylać.

Aneta Lotycz

Tajemnicze zakątki Nowego Miasta

Dawno temu piastowski książę wrocławski Henryk III Biały postanowił założyć Nowe Miasto opodal prężnie rozwijającego się Wrocławia. Rada Miasta Wrocławia nie była zadowolona z rosnącej konkurencji, dlatego po przejęciu władzy przez króla Czech miasto to zostało połączone z Wrocławiem. Miejsce nazywane niegdyś Nowym Miastem otaczały rzeki, Odra i Oława. Ludzie, którzy tam mieszkali, byli w większości ubogimi Polakami,

zajmującymi się tkactwem i rybołówstwem. Ich domostwa otaczały lasy i łąki, a w szuwarach, nad rzeką Odrą, stały łodzie rybackie.

Mijały stulecia, nastały rządy Habsburgów, później pruskich Hohenzollernów. Prawie wszędzie mówiono po niemiecku, tylko w części miasta założonej dawno temu przez Henryka III wciąż słyszano język polski. Wielu mieszczan nie mogło pojąć dlaczego tak się dzieje, prawdę znali jedynie polscy rybacy łowiący ryby w rzece Odrze. Wieczorami, o zachodzie słońca, niedaleko miejsca nazywanego dziś Wzgórzem Polskim, wylaniały się z nurtów rzeki trzy piękne rusalki. Tańczyły przy brzegu Odry i śpiewały polskie pieśni: o Piastach wrocławskich, o dawnym zamku książęcym na Ostrowie Tumskim, o polskich biskupach sprawujących władzę kościelną i o wielu cudach i dziwach, o których ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało. Potężne gmachy kościołów, na Ostrowie Tumskim, dumnie odbijały się w tafli wody i świadczyły o historii miasta. Nikt nie wiedział, że polskie pieśni nie pozwoliły rybakom zapomnieć o ich pochodzeniu. Pruskim książętom nie podobało się przywiązywanie Polaków do ojczystego języka, dlatego postanowili ich zgermanizować.

Mijały kolejne lata, coraz rzadziej słyszano język polski na ulicach miasta Wrocławia, ale pewnego dnia nastąpił zwrot w historii Śląska. Wrocław stał się miastem polskim. Na terenie dawnej polskiej osady rybackiej, zwanej kiedyś Nowym Miastem, postawiono nowe pomniki oraz stworzono muzea upamiętniające historię Polski i Śląska. Wzgórze wznoszące się w miejscu, w którym rusalki śpiewały polskie pieśni nazwano Wzgórzem Polskim. Mieszczanie spacerujący w pobliżu wzgórza nie słyszą dziś żadnych historycznych pieśni, ale mijane przez nich pomniki i muzea nie pozwolą zapomnieć im o tym jak wielokulturowym i wielonarodowym miastem był Wrocław.

Aneta Lotycz